

Przebudzenie

Nazywała się Cassandra Millet - tylko tyle udało mi się wyciągnąć, zanim przerwał nam dźwięk kościelnych dzwonów. Eleanor zawołała wstrząśnięta:

- Już szósta? Musimy lecieć!
- Dokąd?
- Na przebudzenie, oczywiście. Chodź, bo się spóźnimy!
- Czekaj, co to za przebudzenie?

Eleanor chwyciła sweter, ja wzięłam swój. Złapała mnie za łokieć i pociągnęła do drzwi.

Biegliśmy przez kampus. Minęliśmy Teatr Verninga, masywny kamienny budynek z greckimi kolumnami, Kolegium Horacego - czerwona cegła i wysokie okna z widokiem na góry. Zdołałam dojrzeć napis wyryty na wejściu: *Cogito ergo sum*.

- Tu odbywają się lekcje - wyjaśniła Eleanor. Potem minęliśmy obserwatorium, kamienną wieżę, służące do astronomicznych obserwacji i jako laboratorium naukowe. Gdy dotarliśmy do skweru, słońce już zachodziło. Usłyszałyśmy gwar rozmów i ruszyłyśmy w tamtą stronę, dopóki nie dotarliśmy na miejsce.

Na środku kampusu drzewa rosły bliżej siebie, zamykając trawnik półkolem dębów i drzew iglastych. Ponad nimi wносиło się ciemniejące niebo z purpurowymi i pomarańczowymi smugami. W oddali widać było kaplicę, dzwony nadal biły.

- To właśnie przebudzenie - powiedziała Eleanor. Uczniowie byli podzieleni na cztery sekcje, według roczników, wyjaśniła Eleanor. Wszyscy siedzieli już na długich ławach ustawionych w literę U. Pierwszy rząd w każdym z roczników był pusty. Eleanor przeciskała się do swojej ławki w sekcji drugoklasistów, byłam tuż za nią, ale gdy zobaczyła, że chcę usiąść obok niej, pokręciła głową.

- Mamy siedzieć w porządku alfabetycznym - wyjaśniła. - Czyli powinnaś być z tyłu, razem z tymi na literę W...

Obejrzałam się. Jedyne wolne miejsce było daleko z tyłu, między kościstym blondynem w okularach, który odganiał muchy, a pulchną dziewczyną z brązowymi włosami, która nie wyglądała zbyt sympatycznie.

- Och... No dobra, to idę - zawahałam się, przyglądając się blondynowi. Wyglądał, jakby coś liczył, ale nikt tego nie mógł dostrzec. - Kto to jest? - zapytałam.

Eleanor zignorowała moje pytanie.

- Ale skoro nie ma koleś, który powinien siedzieć obok mnie, to klapnij tu - powiedziała, gdy już miałam odejść. - Na pewno będziesz miłym towarzyszem. On z nikim nie rozmawia, nie uśmiecha się, nie żartuje. Próbowalam go zaczepiać, ale nie reagował. Chyba w ogóle mnie nie dostrzega. Zresztą w taki sam sposób traktuje pozostałych. Nawet z przyjaciółmi przestał rozmawiać. Pasowałby na wyrzutka społeczeństwa, gdyby nie to, że wszyscy mają obsesję na jego punkcie.

- Jak to? Przecież mówiłaś, że z nikim nie rozmawia.

- Bo nie. Problem w tym, że... że jest boski. Niewiarygodnie, nieziemsko przystojny i nie wiadomo dlaczego wybrał samotność. Do tego jest inteligentny i biegle posługuje się łaciną. Ludzie nie mogą się zdecydować, czy go lubić, nienawidzić, czy się go bać; a może wszystko naraz. Mój brat Brandon nie znosi, gdy o nim mówię, a co dziwniejsze, zamienili ze sobą najwyżej kilka słów.

- Jak on się nazywa?

- Dante Berlin - wyszeptala Eleanor, wymawiając to imię niczym mroczny sekret.

Parsknęłam śmiechem.

- Dante? Jak ten od *Boskiej komedii*? Nie wydaje ci się, że wybrał to imię dla podtrzymania mrocznego i tajemniczego image'u?

Eleanor pokręciła głową z dezaprobatą.

- Poczekaj, aż go zobaczysz; odechce ci się śmiać. Przewróciłam oczami.

- Założę się, że tak naprawdę nazywa się bardziej banalnie, Eugene albo Dwayne.

Myślałam, że Eleanor się roześmieje, ale ona rzuciła mi niespokojne spojrzenie. Nie zwróciłam na to uwagi i mówiłam dalej:

- Moim zdaniem to snob. Na pewno jest jednym z tych koleśków, którzy świetnie wiedzą, jacy są przystojni. Pewnie nawet nie czytał *Boskiej komedii*. Łatwo udawać bystrzaka, jak się nic nie mówi.

Eleanor wymruczała tylko:

- Ciii...

Ale nim zapytałam, o co chodzi, usłyszałam chrząknięcie. O Boże, pomyślałam i odwróciłam się powoli.

- Cześć - rzucił stojący za mną chłopak z kpiącym półuśmiechem.

To właśnie był Dante Berlin.

Jak można opisać kogoś, kto odebrał ci mowę?

Rzeczywiście był boski. Ale nie było to piękno z obrazów Moneta czy piaszczystej plaży, nawet nie piękno Wielkiego Kanionu. Był zniewalający i subtelny zarazem; gdy się na niego patrzyło, miało się wrażenie, że ma się przed sobą niebo nocą. Albo muszelkę, zastanawiając się, jak natura mogła stworzyć coś tak złożonego i tak doskonałego. Miał ciemne melancholijne oczy, brązowe włosy założone za uszy i mocne dłonie.

Chciałam powiedzieć coś błyskotliwego czy dowcipnego, ale wykrztusiłam jedynie:

- Cześć.

Popatrzył na mnie z mieszanką dezaprobaty i ciekawości.

- Ty pewnie jesteś Eugene - zagadnęłam.

- Zgadza się - odparł ze śmiechem i pochylił się do mnie. - Ale nie zdradzisz nikomu mojej prawdziwej tożsamości? Imię Eugene zniszczyłoby mój wizerunek.

Zaczerwieniłam się. Nie pasował do opisu Eleanor.

- A ty jesteś... - zaczął.

- Renee - dokończyłam.

- Chciałem raczej powiedzieć: na moim miejscu, ale Renee też może być.

Zamarłam.

- Ach, no tak. Przepraszam.

- Renee jak Rene Descartes? Jakież to ezoteryczne. Nic dziwnego, że wydaje ci się, że wiesz wszystko. Zapewne przybrałaś to imię, żeby poprawić swój image?

Popatrzyłam na niego. Wiedziałałam, że się ze mną droczy, ale zabolalo.

- Miło było cię poznać - rzuciłam lakonicznie i odwróciłam się, zanim odpowiedział. Machnęłam na pożegnanie Eleanor, która zamarła z wrażenia.

A potem usłyszałam głos Dantego:

I szliśmy, by wnet wyjrzeć na lazury. Idziem i w drodze wcale się nie lenim. Wciąż wyżej: pierwszy on, ja za nim wtóry, Aż obaczylem niebios światła cudne Przez krągły otwór migoczące z góry. Tędyśmy na świat wyszli, witać...¹

Spojrzałam przez ramię i powiedziałam, jednocześnie z nim:

- Gwiazdy2...

Popatrzyliśmy na siebie, tak samo zaskoczeni i zdumieni. To był ostatni wers *Piekle* Dantego. Bez słowa odwróciłam się i poszłam do ostatniego rzędu, siłą woli zmuszając się, żeby się nie odwrócić i na niego nie patrzeć.

- Przepraszam - powtarzałam, kiedy przeciskałam się do swojego miejsca. Deptałam ludziom po stopach i potraçałam ich łokciami. W końcu stanęłam przed jasnowłosym chłopakiem. Popatrzył na mnie przez grube szkła okularów, a potem szybko odwrócił wzrok, jakby zrobił coś złego. - Tutaj jest W? - spytałam.

Gdy już zrozumiał, że mówię do niego, skinął głową.

- Tak. Welch jak sok - powiedział, najwyraźniej o sobie. - I Wurst - dodał, zniżając głos do szeptu wskazując dziewczynę po lewej stronie - jak kielbasa.

Roześmiałam się.

- Ja jestem Renee Winters jak zima. - Usiadłam obok niego.

Był niski, miał jasne włosy, brwi i rzęsy, niewiarygodnie kościste ręce i wyglądał, jakby większość czasu spędzał w piwnicy rodziców, grając w gry. Jednak było w nim coś interesującego, chociaż nie mogłam zrozumieć co. Może to, że nie zamrugał ani razu od chwili, Hdy zaczęliśmy rozmawiać? A może dlatego, że pochyłał się do przodu, gdy mówił? Nie, to było coś innego.

- Jestem Nathaniel. W sensie, tak mam na imię. -Poprawił okulary. Jego skłębione włosy wyglądały, jakby od dawna ich nie mył i nie czesał, cerę miał jak woskowany papier, z kolekcją pryszczy na czole i podbródku.

Uśmiechnęłam się.

- Załapałam.

- Jesteś tu nowa, nie? Skinęłam głową.

- Ja też. W sensie, byłem, w zeszłym roku. Teraz już nie jestem.

Tłum uciszył się, na skwer wkroczyli jacyś ludzie.

- To nauczyciele - wyjaśnił Nathaniel.

Sztywnym krokiem podeszli do miejsc w pierwszych rzędach; gdy usiedli, ich identyczne błękitnozłote szaliki zawisły luźno.

Po środku skweru rósł ogromny dąb; jego sękaty pień był tak gruby, jakby powstał z połączenia trzech drzew. Nad gałęziami wisały dwie flagi, granatowe z konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy wyhaftowaną żółtą nicią i z herbem akademii. Pomiędzy nimi znajdowało się niewielkie podium. I wtedy z ciemności wynurzyła się wysoka kobieta, wyglądała jak zjawą.

- To dyrektorka, Calysta von Laark - oznajmił Nathaniel.

Miała co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, niebieskie oczy, duże dłonie i szczupłą, nieco męską figurę. Jej falujące białe włosy były upięte z tyłu głowy.

Podeszła do podium i zastygła. Wiatr ucichł, wszyscy zamarli.

- Uczniowie, nauczyciele, pragnę powitać was na początku kolejnego wspaniałego roku szkolnego w Akademii Gottfrieda... - Jej niski, głęboki głos odbijał się echem od budynków otaczających skwer. - Mam nadzieję, że mieliście piękne wakacje i że w tym czasie korzystaliście z tego wszystkiego, co oferuje nam lato. Szczególnie serdecznie witam nowych uczniów. Jak już zapewne wiecie, pełną listę praw obowiązujących w akademii znajdziecie w *Regulaminie*, który otrzymaliście razem z podręcznikami i planem zajęć. W razie pytań zwracajcie się do starszych kolegów oraz opiekunów internatu, pani Lynch i profesora Bliss.

Kobieta i mężczyzna podnieśli się ze swoich miejsc i pomachali do uczniów.

- W naszej akademii wyznajemy zasadę, że ograniczenia wyzwalają umysł. Spodziewamy się, że wszyscy nasi uczniowie będą przestrzegać reguł. Mimo że jest to nie do końca zgodne z procedurą, korzystając z okazji, chciałabym przypomnieć o kilku, które mogą się wydać dość dotkliwe, zwłaszcza w świetle tego, co wydarzyło się ubiegłej wiosny.

Nad tłumem przeleciał szmer. Co takiego stało się ubiegłej wiosny? Zastanowiłam się. Pochyliłam się do Nathaniela, żeby go spytać.

- Zginął jeden chłopak - wyjaśnił. - Z pierwszej klasy, Benjamin Gallów.

- Słucham? - Byłam zaskoczona. - Jak to? Przerwał nam głos dyrektorki, wyliczającej reguły:

- Po pierwsze, chłopcy mają zakaz przebywania w internacie dziewcząt i vice versa. Po drugie, opuszczanie terenu szkoły jest zabronione i będzie karane wydalaniem ze szkoły. I wreszcie, po trzecie - dyrektorka przerwała, odsuwając z oczu pasmo białych włosów - żaden z uczniów, i nie ma od tej reguły żadnego wyjątku, nie może nawiązywać romantycznych związków w szkole.

¹ Dante Alighieri Boska Komedia, pieśń 35, przełożył Edward Porębowicz Warszawa 1990

- Co takiego? - zdziwiłam się, że ktoś w ogóle mógł pomyśleć o zakazaniu randek. Ale nikt inny nie wyglądał na zdumionego. Słońce zachodziło za biblioteką, niemal w tym samym czasie w budynku zapaliły się światła. Wokół nas zapadał purpurowy zmierzch.

- Przypominam również, że po zachodzie słońca nie wolno zapalać sztucznego światła, żadnego, z wyjątkiem świec. Ciemność zawsze majaczy na horyzoncie, a my w akademii jej nie unikamy, lecz stawiamy jej czoło. Jako dyrektorka zachęcam was do postępowania tak z nauką oraz każdą przeszkodą, z którą przyjdzie wam się zmierzyć. Nie gódźcie się na granice, jakie niesie życie. Szukajcie tego, czego nie możecie zobaczyć. Wokół nas jest cały wszechświat, jedynym zwycięstwem w starciu z ciemnością jest dostrzeżenie światła.

W ciszy, jaka zapadła wokół, słychać było cykające w trawie świerszcze.

- A teraz, kontynuując tradycje wielkich myślicieli, odrzućmy wszystko, co wiemy i przyjmijmy świat takim, jakim jest.

Dyrektorka zamknęła oczy i pochyliła głowę, wszyscy zrobili to samo, ja również, a potem zaczęła mówić w języku, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Cichy szept powoli przeszedł w śpiewną recytację. Otworzyłam jedno oko, usiłując dojrzeć Dantego, ale zobaczyłam tylko jego kark - piękny i gładki nad kołnierzykiem koszuli.

Moje rozmyślenia przerwał szept Nathaniela.

-Przynies nam śmierć - powiedział.

- Co takiego?

- To właśnie mówi. Przynies nam śmierć, żebyśmy mogli ją zbadać. Zdobyć nieśmiertelność przez zrozumienie umysłu dziecka. - Jego głos się załamał. - A gdy umrzemy, nasze umysły będą żyły po wsze czasy.

- Że co? - Brzmiało to zbyt makabrycznie jak na motto liceum. W mojej starej szkole nigdy nie było żadnych przemów powitalnych, nie mówiąc już o dziwnych ceremoniach wieczornych.

- To po łacinie - wyjaśnił Nathaniel. Nadal miał zamknięte oczy, podobnie jak wszyscy inni. - Mówi, że nawet jeśli nasze ciała umrą, nasze dokonania będą żyć wiecznie.

- Ciii - wysyczał ktoś z boku przed nami. Sztynna, elegancka dziewczyna rzuciła nam oburzone spojrzenie i zamknęła oczy.

- Genevieve Tart - wyjaśnił szeptem Nathaniel. -Jest w trzeciej klasie i mnie nie znosi.

- Niby dlaczego? - zdumiałam się.

- Drażni ją moja obecność.

- Powiedziała ci to?

- Nie, po prostu wiem. Prawie się do mnie nie odzywa i myśli, że mam na imię Neil.

- Głupota. Skąd możesz wiedzieć, że cię nie znosi, jeśli nawet z tobą nie rozmawia?

- Ciii - syknęła Genevieve, tym razem na mnie. Nathaniel popatrzył w ziemię.

- Widzisz?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w jednym z pierwszych rzędów wstał chłopak - wysoki i dobrze zbudowany, jego twarz do złudzenia przypominała twarz Eleanor. Domyśliłam się, że to jej starszy brat.

Przeszedł wzdłuż ławek w swojej sekcji wolnym krokiem, i w końcu zatrzymał się za dziewczyną i dotknął jej ramienia. Była smukła i ładna, miulu migdałowe oczy, a na włosach kraciastą opaskę.

Potem ona się podniosła i ruszyła przed siebie. Dotknął niskiego, kościstego chłopca, który zbliżył się do ławek uczniów trzeciej klasy i położył dłoń na ramieniu piewowatej dziewczyny o rudych włosach. Ta z kolei klepnęła poważnego chłopaka, który wyglądał na mola książkowego. On zaczął iść w naszą stronę, prosto na mnie.

Zatrzymał się przy naszym rzędzie, a ja zacisnęłam powieki, bojąc się, że mnie wybierze, ale tak się nie stało. Dotknął dziewczyny przed nami. Genevieve Tart wstała i z gracją poszła wzdłuż przejścia.

Szóstka uczniów ustawiła się w szeregu przed podium, z pochylonymi głowami i zamkniętymi oczami.

- Wybierają nową Straż Uczniowską - wyjaśnił Nathaniel. - Wzorowi uczniowie - dodał z goryczą w głosie. - Mają pilnować, żebyśmy przestrzegali reguł.

- Jak się ich wybiera?

- Robią to profesorowie, ale ciężko wyczuć, czym się kierują. Podobno jest jakiś test, ale nikt nie wie jaki, a strażnicy milczą. Może właśnie dlatego się ich wybiera, że są lizusami.

Dyrektorka przerwała swój monotony śpiew i zeszła z podium. Zwróciła się do pierwszego chłopaka i położyła mu rękę na ramieniu.

- Brandon Bell - oznajmiła.

A potem szła wzdłuż szeregu, wymawiając kolejne imiona:

- Ingrid Fromme, Schuyler Soverel, Laney Tan-nenbaum, Maxwell Platkin, Genevieve Tart.

Nathaniel wyjaśnił, że zwykle wybiera się trzecioklasistów i najstarszych uczniów, Brandon, Ingrid, Schuyler byli w ostatniej klasie, z trzeciego roku byli Laney, Maxwell i Genevieve. Dyrektorka wydeła ciemnoczerwone, eleganckie usta.

- Straży Uczniowska. Dzisiaj zostaliście związani z Akademią Gottfrieda. Od tej chwili ciało uczniów jest waszym ciałem. Głos uczniów jest waszym głosem...

Zza drzew wychylił się ogromny księżyc. Dyrektorka podniosła głowę i rozejrzała się wokół.

- A teraz obudźmy się - oznajmiła.

Członkowie Straży po kolei otwierali oczy i podnosili głowy; wszyscy inni uczniowie zrobili to samo. Nocne niebo było czyste, w jeziorze odbijał się księżyc, chłodny powiew wiatru poruszył liśćmi olbrzymiego drzewa.

Dyrektorka wyjęła spod podium niewielki nóż i głęboko nacięła korę. Z nacięcia wypłynęła gęsta czerwona żywica. Zanurzyła w niej palce, a potem przesuwając nimi po czole każdego ze strażników, zostawiając czerwoną linię tuż nad oczami. I znów przemówiła po łacinie.

Nathaniel tłumaczył:

- Krwi dębu, krwi naszych przodków, spoczywająca w jego korzeniach. Spraw, by nasze umysły mogły się odradzać, niechaj to robią wciąż na nowo.

A potem odwróciła się do strażników. Z tą czerwoną kreską na czole wyglądali przerażająco, niemal biblijnie. Nigdy w życiu nie widziałam drzewa, które miałyby czerwoną żywicę.

- Akademio Gottfrieda, przedstawiam ci nową Straż Uczniowską! Jednocześnie pragnę zaprosić wszystkich na pierwszą w tym roku ucztę w Megaronie.

W końcu kobieta odwróciła się od Straży Uczniowskiej i odeszła, a oni kolejno podążyli za nią w stronę budynków internatu. Za nimi ruszyli profesorowie. Nikt nie klaskał. Nikt nic nie mówił. Wysoko w górze wiał wiatr, sprawiając, że kampus wydawał się opuszczony.

Zaraz potem wszyscy wstali. Próbowałam wypatrzeć Dantego, ale już go tam nie było, jedynie Eleanor rozmawiała z grupką dziewcząt. Reszta uczniów zmierzała do Megaronu, czyli, zdaje się po grecku stołówki. Jedynie Nathaniel stał przy ławkach, jakby na coś czekał.

- Idziesz na ucztę? - zagadnęłam go w końcu. Wyprostował się, jakby zaskoczony.

- Idę - odparł. Przez chwilę bawił się guzikami przy koszuli, potem strzepnął komara z ramienia.

- Usiądziesz obok mnie? - spytałam. Sprawiał wrażenie dziwaka, ale był miły i zabawny, a ponieważ do tej pory nikt go nie zaczepił, pomyślałam, że nie ma z kim usiąść przy kolacji.

Popatrzył na mnie, poprawiając okulary.

- Naprawdę? To znaczy: no pewnie.

Eleanor spotkaliśmy już przy stole w Megaronie. Jej koleżanki były dokładnie takie same jak ona: ładne, bogate i beztrudne. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony - dziewczyny, gdy zobaczyły idącego ze mną Nathaniela, czy Nathaniel, gdy zrozumiał, że będzie siedział z najładniejszymi dziewczynami na roku. Próbowałam uczestniczyć w rozmowie, ale nie mogłam się powstrzymać przed rozglądaniem się na boki. Miałam nadzieję, że zauważę Dantego pod jednym ze stalowych żyrandoli. Niestety, widziałam tylko obce twarze.

Nagle usłyszałam jego imię. Odwróciłam się do naszego stolika. Dziewczyny i Nathaniel gapili się na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź.

-Prawda, Renee? - rzuciła Eleanor.

-Co? Przepraszam, zapatrzyłam się na... na stół strażników.

-Powiedziałam właśnie, że sprowokowałam Dantego Berlina do rozmowy. Chyba nawet się śmiał.

Zaczerwieniłam się.

- Niby tak, ale to nic poważnego. Właściwie to był raczej nieprzyjemny.

- W przypadku Dantego wszystko jest poważne. Nigdy się nie uśmiecha ani nie śmieje - zakomunikowała Greta, atletyczna rudowłosa dziewczyna.

- Nie jest aż tak źle - odparłam, nakładając sobie spaghetti. - Chyba nawet ma poczucie humoru.

- Przy tobie był inny - oznajmiła Eleanor. - Po raz pierwszy widziałam, żeby z kimś tak długo rozmawiał, w każdym razie od zeszłej wiosny.

- A co takiego stało się zeszłej wiosny? Odpowiedziała mi Rebecca, delikatna dziewczyna z krótkimi czarnymi włosami.

- Tak naprawdę nikt tego nie wie. - Oparła łokcie na blacie. - Tyle tylko, że zmarł Benjamin Gallów. Najpierw zniknął, a kilka dni później znaleziono go martwego w lesie.

- Źle to opowiadasz - przerwała jej Eleanor, zaczęła się skupić na niej i zaczęła opowieść: - Była połowa drugiego semestru, gdy pewnego dnia Benjamin po prostu nie przyszedł na zajęcia. Należał do chłopaków, którzy nie zdają sobie sprawy, jacy są super. Piątkowy uczeń, najlepszy szermierz, miły dla każdego, nawet dla kucharek. Wszyscy lubili Benjaminą, a on lubił wszystkich. Gdy

Im niego dnia nie przyszedł na zajęcia, pomyśleliśmy, że jest chory. Problem w tym, że nie było go również w pokoju. Szukano go, wypytywano przyjaciół, kolegę z pokoju, jego dziewczynę, niemal każdego, kto go znał, ale nikt nie miał bladego pojęcia, gdzie on może być.

Eleanor powiodła po nas dramatycznym wzrokiem, jej oczy płonęły podnieceniem.

- W końcu znaleziono go w lesie. To był poniedziałek, pamiętam, bo włożyłam niebiesko-różową opaskę, którą zawsze noszę w poniedziałki. Mieliśmy naukę

0Ziemi i byliśmy na dworze, gdy zobaczyliśmy, że wnoszą Benjaminą przez bramę. Nie żył. Twarz miał przykrytą płaszczem. Wydać było tylko jego rękę zwisającą nad trawą, gdy profesor Bliss i profesor Starking nieśli go do skrzydła szpitalnego. Była tak blada, że niemal niebieskawa.

Przy stole zapanowała niezręczna cisza, szcęk sztućców o talerze tworzył jednostajny szum wokół nas, gdy siedzieliśmy w milczeniu, wyobrażając sobie rękę Benjaminą zwisającą bezwładnie nad ziemią.

- Ale najdziwniejsze, że nie wiedzieliśmy, co spowodowało jego śmierć - mówiła dalej Eleanor. - Nie był ranny, nie miał siniaków ani skaleczeń. Nikt go nie zaatakował i nie zamordował. Nie znaleziono przy nim żadnych rzeczy, więc nie uciekł. Pielęgniarki w końcu orzekły, że to musiał być atak serca.

Znieruchomiałam

- Zaczekaj. - Moje serce zaczęło bić szybciej. -Zmarł na atak serca? - Brzmiało to nieprzyjemnie znajomo.

- Dokładnie tak. Początkowo zupełnie to do nas nie docierało. No bo jak to, piętnastoletni chłopak

I atak serca? Ale tak właśnie było.

Oczyma wyobraźni zobaczyłam moich rodziców. Samochód, las, atak serca...

- Znaleźli coś przy nim? Coś niezwykłego? Może znaleźli coś na jego ciele?

Popatrzyła na mnie speszona.

- Nie przypuszczam...

- Nie, nic niezwykłego, poza martwym chłopakiem -odparła sarkastycznie Rebecca i ugryzła pomidora.

Eleanor przewróciła oczami.

- No dobrze, ale co Dante ma z tym wspólnego? -spytałam.

Eleanor spojrzała na mnie tak, jakby to było oczywiste.

- To właśnie on go znalazł. Przestałam żuć.

- Nikt nie rozumiał, jak mu się to udało. Benjamin leżał tak daleko w głębi lasu, że odnalezienie go było praktycznie niemożliwe.

Poczułam, że oblewa mnie pot.

- Potem krążyły plotki, że to Dante go zabił i dlatego wiedział, gdzie go szukać.

- Ale dlaczego miałby to zrobić? - zapytałam, siląc się na obojętność.
- No wiesz - Eleanor napiła się wody - Benjamin chodził z moją współlokatorką, Cassandrą Millet.
- Jak to? Wydawało mi się, że randki są zabronione? A tak przy okazji, dlaczego?

Eleanor spojrzała na mnie z wyższością.

- To chyba jasne, nie? Nauczyciele myślą, że ma to negatywny wpływ na naukę. Dlatego dawniej były oddzielne szkoły dla chłopców i dziewcząt, stąd też nasze stroje. Żadnych krótkich spódniczek czy gołych ramion. Ale to jeszcze nie znaczy, że nikt tego nie robi. No więc Cassandrą była śliczna: kremowa cera, wielkie zielone oczy, falujące złote włosy, mała Afrodyta. Wszyscy ją uwielbiali, nawet Dante. Byli przyjaciółmi, należeli do Klubu Łacińskiego. Dlatego niektórzy myśleli, że Dante podkochiwał się w Cassandrze i zabił Benjamina, żeby ją zdobyć.

- To chyba jednak przesada - zawyrokowałam. Eleanor wzruszyła ramionami.
- To tylko plotka.
- No i co, są teraz razem?
- Cassandrą rzuciła szkołę. - Rebecca pokręciła głową.

- Albo została przeniesiona - dodała Eleanor. - Tak czy inaczej, nie ma jej w akademii.
- Może to ona zabiła Benjamina? - zasugerowała dziewczyna o imieniu Bonnie.

Eleanor machnęła ręką.

- Wtedy całą sprawą zajęłaby się policja. A w ogóle, czemu miałyby to robić?

Bonnie wzruszyła ramionami.

- Poza tym - ciągnęła Eleanor - przyczyną śmierci był atak serca. Myślicie, że ktoś go u niego wywołał?

- Może go pocałowała? - odezwał się po raz pierwszy Nathaniel. - Mnie na pewno doprowadziłoby to do ataku serca.

Popatrzyliśmy na siebie z rozbawieniem i parsknęliśmy śmiechem.

Po kolacji wróciliśmy do internatu. Dziewczyny poszły do swoich pokoi; Eleanor zapaliła świecę i przebrała się w różową piżamę. Miałam zamiar poczytać i zapominając o tutejszych zasadach, chciałam zapalić światło, ale nie znalazłam włącznika. No tak, faktycznie żadnego światła po dwudziestej pierwszej.

- Nie widzę sensu w tych wszystkich zasadach -mruknęłam.

Eleanor wzruszyła ramionami.

- Nauczyciele powiedzieliby pewnie, że chodzi o nasze bezpieczeństwo.

- Ale jak można odrabiać lekcje bez światła? Jak w ogóle można robić cokolwiek?

- Masz świece. Poza tym oczy się przyzwyczajają. Po prostu odrabiaj lekcje wcześniej. Po co się uczyć w nocy, skoro można wtedy robić coś znacznie ciekawszego?

Brzmiało niezłe, choć osobiście podejrzewałam, że zdaniem dyrektorki nie powinniśmy mieć nic ciekawszego do roboty niż odrabianie lekcji. Nic dziwnego, że mój dziadek tak lubił tę szkołę. W porównaniu z zasadami panującymi tutaj, jego godzina policyjna o dwudziestej drugiej wydawała się całkiem znośna.

- Poczekaj - powiedziała Eleanor. - Zaraz... -Otworzyła szufladę w komodzie i szperała w niej, aż wreszcie znalazła wypaloną do połowy świecę. - Weź ją. Wiesz co, zawsze myślałam, że Nathaniel to straszny dziwak, ale dzisiaj był całkiem miły. I zupełnie normalny.

Skinęłam głową, chociaż w tej chwili nie myślałam o Nathanielu.

- A więc Dante przyjaźnił się z Cassandrą? - spytałam ostrożnie, szcztokując włosy.

Eleanor podniosła wzrok znad pamiętnika, jej oczy były rozszerzone podnieceniem, jakby czekała tylko na to pytanie.

- Oboje należeli do Klubu Łacińskiego. To znaczy, my to tak nazywamy, to klasa zaawansowanej łaciny. Oprócz nich byli tam jeszcze Gideon DuPont i Vivian Aletto z drugiej klasy, i Yago Castiliar. Inteligentni, można powiedzieć, elita. Wiedzieli wszystko o języku i literaturze starożytnych Greków i Rzymian, biegle posługiwali się łaciną i zawsze siedzieli razem w bibliotece, szepcząc po łacinie, tak żeby nikt nie mógł ich zrozumieć.

Eleanor podeszła do otwartego okna, a potem usiadła na łóżku obok mnie.

- Ja to zrobię. - Zaczęła zaplatać moje włosy w warkocz. - Gdy Benjamin zmarł, a Cassandrą zniknęła, grupa się rozpadła. To znaczy, właściwie to Dante się od nich odsunął. Pokłócił się Gideonem, Vivian i Yago-nem. Pamiętam, że stali na skwerze po godzinie policyjnej i krzyczeli tak, że słyhać ich było w pokojach.

Podciągnęłam kolana do brody.

- I co mówili?

Eleanor zaśmiała się cicho.

- Kto to może wiedzieć? Przecież mówili po łacinie. Profesorowie nie interweniowali, pojawili się dopiero, gdy już było po wszystkim. Wtedy Dante wyniósł się ze szkoły. Przestał rozmawiać z ludźmi. Myślę, że jest jedynym uczniem akademii, któremu pozwolono mieszkać w Attica Falls.

- Może on coś wie? - zasugerowałam, wyglądając przez okno na drzewa za murami szkoły.

- O czym? - spytała Eleanor, zaciskając mój warkocz. - Siedź spokojnie.

- O śmierci Benjamina. To przecież dziwne, mam na myśli przyczynę jego śmierci. Poza tym to właśnie Dante go znalazł. Musi coś wiedzieć. - Odwróciłam się do Eleanor. - Może odkrył coś na jego ciele i nie powiedział o tym nauczycielom? Może właśnie o to się kłócili?

Eleanor zmarszczyła czoło.

- Coś na jego ciele? Co masz na myśli?

- Na przykład monety albo coś w tym stylu. Jakiś materiał...

Eleanor prychnęła.

- Na pewno miał na sobie ubranie i niewykluczone, że jakieś drobne w kieszeniach. Jakie to może mieć znaczenie? Benjamin zmarł śmiercią naturalną. Czy to ważne, o co się pokłócili? Zmarł ich przyjaciel, Cassandrą została przeniesiona, może po prostu byli zdenerwowani?

Westchnęłam.

- Może.

To, co mówiła Eleanor, brzmiało sensownie, ale nie potrafiłam w to uwierzyć.

- Ale jeśli Dante coś ukrywa, może zdołasz to z niego wyciągnąć - podsumowała, zakładając gumkę na koniec warkocza. - Chyba cię polubił.

- Powiedział do mnie trzy słowa, a potem, że zajęłam jego miejsce. Nie wiem, czy to oznacza lubienie.

- No dobra, ale nie zaprzeczysz, że jest cudny. Nie jesteś przynajmniej ciekawa?

Byłam, ale nie dlatego, że był taki piękny. Było coś w sposobie, w jaki na mnie patrzył, w tym, że pierwszy raz od śmierci moich rodziców czułam, że żyję. I chociaż nasze spotkanie było krótkie i nic nieznaczące, nie mogłam przestać o nim myśleć. Dlaczego rozmawiał tylko ze mną? I czy to zbieg okoliczności, że znalazł Benjaminia martwego w lesie i że przyczyną śmierci był atak serca - dokładnie tak, jak w przypadku moich rodziców? Rzecz jasna nie było żadnego dowodu na to, że Dante cokolwiek wie, mógł pokłócić się z przyjaciółmi z wielu powodów. Ale może coś w tym było?

Już miałam odpowiedzieć, gdy ktoś zastukał w ścianę nad łóżkiem Eleanor. Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. Wskoczyła na swoje łóżko i zastukała trzy razy, odczekała chwilę i zastukała jeszcze raz. Potem podeszła na palcach do drzwi, nasłuchując, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma na zewnątrz.

- Idę do pokoju obok. Idziesz ze mną?

- A co jest w pokoju obok?

- Dziewczyny - wyjaśniła, wkładając kapcie. - Chodź, będzie tam Genevieve, pewnie zdradzi jakieś plotki o Straży Uczniowskiej.

- A są jakieś plotki? Myślałam, że to wzorowi uczniowie.

- Daj spokój, każdy ma jakiś mroczny sekret. - Uniosła brwi i dodała: - Nie tylko Dante.

- Przecież twój brat należy do Straży, czemu jego nie spytasz?

Pokręciła głową.

- To jedyna rzecz, na temat której na pewno się nie wygada. Nie rozumie, że to uwarunkowanie psychologiczne: im bardziej on coś ukrywa, tym bardziej ja chcę się tego dowiedzieć.

Zaproszenie było kuszące, ale wolałam najpierw w spokoju przemyśleć to wszystko, czego dowiedziałam się o Benjaminie.

- Może następnym razem. Jestem wykończona. Eleanor wzruszyła ramionami.

- Jak sobie chcesz.

Włożyła sweter i wysliznęła się na korytarz, gdzie już czekały Rebecca i Bonnie.

- Słodkich snów, Renee - powiedziała melodyjnym głosem, zamykając drzwi. Został po niej jedynie zapach perfum i oddalający się chichot.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, wzięłam telefon i wybrałam numer Annie. Odebrała jej mama.

- Ha... halo? - wychrypiałam. Wyjechałam zaledwie dwa dni temu, ale wydawało mi się, że minęły całe wieki. Sądziłam, że naprawdę chcę porozmawiać z kimś znajomym, ale znowu powróciły wszystkie emocje związane ze stratą rodziców, oderwaniem od przyjaciół i całego kalifornijskiego życia.

- To ty, Renee? - Usłyszałam głos Margerie, dobiegający ze świata, o którym niemal zapomniałam.

Przełknęłam ślinę.

- Tak - szepnęłam. - Czy zastałam Annie?

- Kochanie, właśnie wyszła. Czy mam jej przekazać, żeby do ciebie oddzwoniła?

- Tak, proszę. - Usiłowałam ukryć rozczarowanie.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak, wszystko dobrze - wykrztusiłam. - Świetnie. Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza, jakby Margerie zastanawiała się, czy mi wierzyć, czy nie.

- No dobrze. Odzywaj się, gdybyś czegoś potrzebowała. Przekażę Annie, że dzwoniłaś.

- Dziękuję. - Zamknęłam telefon.

Pomyślałam o tych wszystkich miejscach, w których Annie mogła teraz być - przystań, kafejka, dom Lauren, o tych miejscach, do których ja też chodziłam, a których już nigdy nie zobaczę. Żeby oderwać się od złych myśli, zawinęłam się w kołdrę, wzięłam *Zbiór reguł akademii* i otworzyłam na spisie treści. Rozdziałów było kilkanaście: *Regulamin stroju*, *Godzina policyjna*, *Granice szkoły*, *Zajęcia w czasie wolnym*, *Pokój i internat*, *Attica Falls* i wiele innych. Znalazłam rozdział o historii akademii i zaczęłam czytać.

W Akademii Gottfrieda pierwotnie znajdował się szpital dziecięcy. Pacjenci zajmowali dwa budynki, je-dcn chłopcy, drugi dziewczęta. Pomiędzy budowlami znajduje się jedyne na Wschodnim Wybrzeżu słone jenom. Założyciel i ordynator szpitala, Bertrand Gott-jried, wykorzystywał właściwości lecznicze słonej wody, która miała zapobiegać chorobom. Jezioro stało się kąpieliskiem dla pacjentów. Rozbudowujący się teren szpitala został otoczony czteroipółmetrowym murem, który miał chronić pacjentów przed naturalnymi zagrożeniami, jakie niesły Góry Białe...

Byłam zmęczona, a jednak nie mogłam przestać czytać. I tak właśnie zakończył się mój pierwszy dzień w Akademii Gottfrieda - na rozmyślaniu o zasadach, nakazach i zakazach, o śmierci Benjaminia Gallowa i moich rodziców, dopóki nie zapadłam w mocny sen bez snów.

Pierwsze prawo przyciągania

Pierwszy tydzień szkoły obfitował w niezwykle wydarzenia. Zaczęło się od łaciny.

Kolegium Horacego, gdzie odbywały się wszystkie lekcje, był wielkości niewielkiego pałacu wiktoriańskiego. Kamienne wieżyczki, duże drewniane drzwi okute żelazem, tak ciężkie, że z trudem udawało mi się je otworzyć. Front gmachu pokrywała winorośl. Wiła się wokół okien wychodzących na skwer.

W środku było foyer z czerwoną wykładziną na podłodze, ściany wykładane drewnem, wysokie sklepienie wsparte dębowymi belkami. W oknie wisiały ciężkie niebieskie kotary ścielące się na podłodze, za nimi brzęczały grzejniki.

Pośrodku pomieszczenia widniały szerokie schody z lśniąca balustradą, które prowadziły do zewnętrznych skrzydeł budynku.

Lekcja łaciny - pierwsza tego dnia - miała się odbyć gdzieś w głębi gmachu. Eleanor pobiegła spóźniona do stołówki, żeby zjeść coś przed zajęciami, więc musiałam radzić sobie sama. Na kilka minut przed dzwonkiem nadal stałam we foyer, wpatrując się w rozkład zajęć.

„Łacina, poziom podstawowy MWF 8.00 WS, II, VII, Kolegium Horacego”

liłam prawie pewna, że to oznacza wschodnie ikrzy dło, drugie piętro i salę numer 7. Albo wschodnie skrzydło, drugi pokój, siódme piętro. A może były In inicjały nauczyciela prowadzącego? Chciałam kogoś wypytać, ale wszyscy spieszyli się na lekcje, migały mi przed oczami koszule, krawaty, mokasyny i spinki do mankietów. No nie, to przecież nie może być trudne, pomyślałam. Z jakiegoś powodu byłam przekonana, że klasa musi znajdować się na siódmym piętrze, więc po chwili wahania podeszłam do schodów prowadzących do wschodniego skrzydła.

Zadzwoił dzwonek, gdy wreszcie znalazłam salę. Zasapana i spocona, gwałtownie otworzyłam drzwi i wpadłam do środka. Uczniowie odwrócili się do mnie i już wiedziałam, że się pomyliłam. To była niewielka grupka, wszyscy siedzieli przy drewnianym stole, pochylając się nad książkami. Wszyscy wyglądali na starszych ode mnie i raczej nieprzyjaznych, szczególnie ponury chłopak z krótkimi brązowymi, starannie uczesnymi włosami. Ubrany był w drogi czarny garnitur i okulary w sztykretowych oprawkach. Obok niego siedziała dziewczyna, chyba jego siostra. Ciężko powiedzieć, które z nich lepiej wyglądało. Ona również miała na sobie męski garnitur, chociaż dopasowano go do szczupłej figury. Krótkie czarne włosy z przedziałkiem na środku głowy i zaczesane do tyłu; przypominała bogatego finansistę z lat dwudziestych.

Profesor był młodym wysokim mężczyzną o jasnych włosach, które przywodziły na myśl sierść golden retrievera. Mówił w języku, którego nie rozumiałam, prawdopodobnie po łacinie, ale najwyraźniej nie była to klasa, której szukałam. Profesor urwał i popatrzył na mnie wyczekująco. Poczułam, że się czerwienię.

- Czy to łacina, poziom podstawowy? - zapytałam. Chłopak, który siedział najbliżej mnie, odwrócił się i zdumiona spostrzegłam, że to Dante. Uniósł swoją piękną brew i popatrzył na mnie rozbawiony. Poczułam się zakłopotana i podekscytowana jednocześnie. Siedział odchylony na oparciu krzesła, jego koszula opinała się delikatnie na szerokich ramionach, falujące brązowe włosy były ściągnięte z tyłu gumką, kilka kosmyków wisiało nad podbródkiem. Wyobraziłam sobie, że ich dotykam...

Nasze oczy spotkały się i poczułam, że oblewam się purpurą.

- Nie - odpowiedział profesor, zdejmując okulary. Za nim wisiała tablica pokryta zdaniami po łacinie. Jedyne słowa, jakie udało mi się rozpoznać to *Cartesius* i *Romu-lus et Remus*. Obok nich widniała, w różnych literacjach i rozmiarach, prosta sześciokątna figura. Wpatrywałam się w nią wstrząśnięta - to było to, co prześladowało mnie w snach przez ostatnie dwa tygodnie: trumna.

- Prze... przepraszam - wybąkałam i odwróciłam się do drzwi. Wtedy Dante wstał i podszedł, nie odrywając ode mnie oczu. Poprawiałam torbę, gdy stanął za mną. Dotknął mojej spódnicy, gdy otwierał drzwi. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie i szepnął:

- Cześć.

Gdy dotarłam spóźniona na swoją lekcję łaciny, cała scena się powtórzyła: wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę i zapadła martwa cisza. Oczy Eleanor były bardzo niebieskie i szeroko otwarte z przerażenia.

„Co się stało?” - Poruszała bezgłośnie wargami, nawijając nerwowo pasmo włosów na palec. Nie odważyłam się odpowiedzieć; nauczycielka przerwała wykład.

- Prze... przepraszam za spóźnienie. Zablądziłam - powiedziałam.

- Nie spodziewam się wyjaśnień, spodziewam się, że usiądziesz - odparła, jakbym powinna była o tym wiedzieć.

Usiłując nie rzucać się w oczy, podniosłam torbę i poszłam na koniec sali.

Nauczycielka łaciny wyglądała jak twierdza w workowatej sukience i grubych okularach. Na tablicy pochyłym pismem widniało: *profesor Edith Lumbar*.

Edith Lumbar. Czyli kobieta, do której miałam się zgłosić, gdybym potrzebowała pomocy. Zamknęłam oczy i westchnęłam, mając nadzieję, że jeszcze jej nie podpadłam.

- Kontynuując w miejscu, w którym nam przerwano, na moich lekcjach panuje kilka zasad. Po pierwsze, żadnego garbienia się.

Wszyscy jak na komendę zaczęli się prostować.

- Adepci łaciny muszą dążyć do doskonałości, jeśli chcą opanować zawilosci i subtelności tego języka. - Nauczycielka zaczęła chodzić po sali. - Nie wolno wam się odzywać, dopóki nie zostaniecie o to poproszeni. I wreszcie, najważniejsze, nie wolno wam nigdy, pod żadnym pozorem, mówić po łacinie.

Jakim cudem mamy się nauczyć języka, którym nie możemy się posługiwać? I jaki to ma sens?

- Dlaczego? - wypaliłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Profesor Lumbar odwróciła się i popatrzyła na mnie zdumiona.

- Czy nie słuchałaś, gdy wspomniałam o zasadach? - spytała retorycznie. - Jak się nazywasz?

- Renee Winters - odpowiedziałam.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem powtórzyła:

- Renee. Aby narodzić się ponownie. Stare imię pochodzące od łacińskiego i francuskiego czasownika *naitre*, urodzić się. Nosił je wielki myśliciel Kartezjusz. Choć najwyraźniej posiadasz jego skłonność do kwestionowania wszystkiego, to brakuje ci cierpliwości i mądrości, by poprowadzić logiczny wywód do końca.

Z trudem nadażałam za jej tyradą.

- A więc, Renee, czego właściwie nie rozumiesz? - spytała uprzejmie tonem podszytym sarkazmem. Zapanowała taka cisza, że słyszałam, jak mi burczy w brzuchu.

Przełknęłam ślinę.

- Ja tylko... zastanawiałam się, dlaczego nie możemy mówić w języku, którego mamy się uczyć.

- Interesujące pytanie. Czy ktoś chciałby na nie odpowiedzieć?

Chłopak z pierwszego rzędu podniósł rękę.

- Tak? Jak masz na imię? - zapytała profesor Lumbar.

- Prem - odpowiedział.
- A więc, Prem, jak sądzisz?
- Dlatego, że łacina jest martwym językiem?

- Łacina jest uznawana za martwą od stuleci, a jednak nadal jest całkiem żywa. Kiedyś była językiem elit, tylko nieliczni mogli pisać i czytać, a co najważniejsze, mówić po łacinie. Na naszych zajęciach przytoczę wam historie osób, które dostąpiły zaszczytu posługiwania się łaciną. Ponieważ jest to poziom podstawowy, to naturalnie w tej sali nie ma nikogo, kto zostałby pobłogosławiony tym językiem. Próby posługiwania się nim byłyby arogancją. Jeśli jednak pogimnastykujecie wasze umysły, nauczę was, jak wyrażać to, co niewyrażalne. Jak opisać najsubtelniejsze uczucia. Zapach, który ostatni raz czuliście w dzieciństwie. Radość, którą sprawia widok rodzącego się zwierzęcia. Niewiarygodny smutek, jaki odczuwamy, stając oko w oko ze śmiercią. Nie jesteśmy w stanie wyrazić tak złożonych emocji. A jednak łacina potrafi rozróżniać te subtelności, których istnienia nawet sobie nie uświadamiacie.

Nikt nie odrywał wzroku od nauczycielki. Nagle łacina wydała mi się interesująca. Już jako dziecko czułam się odizolowana od innych, byłam pewna, że nikt mnie tak naprawdę nie zna, nawet moi rodzice. A teraz oni nie żyją, a ja czuję się jeszcze bardziej samotna. Czy mogłabym przekazać komuś to wszystko, co czułam? Może łacina mogłaby mi pomóc...

Profesor Lumbar wzięła kawałek kredy i zaczęła pisać na tablicy: *Latinum: lingua mortuorum*. Przepisałam to zdanie do zeszytu.

- A teraz otwórzcie podręczniki na stronie dwunastej - poleciła. Do końca lekcji zajmowaliśmy się przepisywaniem koniugacji.

Po dzwonku wertowałam słownik, próbując odszyfrować łacińskie zdanie. Gdy już mi się to udało, rozejrzałam się podejrzliwie.

Łacina: język umarłych.

Reszta dnia upłynęła na gonitwie. Biegaliśmy z jednej sali do drugiej niczym stado owiec, nosząc książki z góry na dół po starych schodach Kolegium Horacego, z krótką przerwą na obiad. Było mi tym trudniej, że byłam nowa. Nie miałam przyjaciół, a wszyscy zachowywali się tak, jakby właśnie skończyli partyjkę polo z księciem Walii w swojej angielskiej posiadłości. Jeśli wziąć pod uwagę, że akademia miała drużynę polo i że jeden koleś z najstarszej klasy był spokrewniony w dalekiej linii z księżną Kentu, to zapewne była to prawda. Eleanor

była najbardziej rozchwytywaną dziewczyną na naszym roku, biegła od jednej grupki do drugiej, opowiadając, jak spędziła wakacje. Ponieważ miałyśmy razem tylko dwie lekcje, i prawie nie było czasu, żeby pogadać na przerwach, ustaliłyśmy, że spotkamy się na obiedzie.

Pozostawiona własnym rozmyślaniom, zastanawiałam się, co robią moi przyjaciele w Kalifornii. Annie miała pewnie biologię, siedziała z tyłu i przesyłała liściki do Lauren, podczas gdy pan Murnane opowiadał o anatomii człowieka. A gdzie był Wes? Pewnie na lekcji historii Ameryki, a może na literaturze angielskiej? Zwykle lubiłam myśleć o Wesie, ale teraz zrobiło mi się smutno. Czy jeszcze mnie pamiętał, czy zajął się kimś innym? Myśl o tym, że może być z inną dziewczyną, była nieprzyjemna; odsunęłam ją i skupiłam się na lekcjach. To był jedyny sposób, żeby przetrwać pierwszy dzień w szkole i nie zwariować.

Właśnie szłam na filozofię, gdy usłyszałam, że coś upadło. Szczupła dziewczyna z brązowymi włosami klękała, usiłując pozbiierać podręczniki, zeszyty i ołówki, które wypadły jej z torby.

Zrobiło mi się jej żal, odstawiłam torbę i podeszłam do niej. Wyglądała nieprzytomnie z zapuchniętymi oczami i nieobecny spojrzeniem, jakby właśnie się obudziła.

- Pomóc ci? - zapytałam.
- Odwróciła się do mnie i z wdzięcznością skinęła głową.

Jej brązowe włosy naelektryzowały się i pojedyncze kosmyki uniosły się śmiesznie. Na pończosze poszło oczko, od pięty aż do spódnicy.

- Jestem Renee - powiedziałam.
- Minnie - odparła nieśmiało.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, poczułam, że ktoś klepie mnie w ramię.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas przerażenia, w pośpiechu upchnęła resztę rzeczy do torby i uciekła w drugi koniec korytarza, zostawiając na podłodze kilka ołówków.

Za mną stała kobieta z długą linijką. Była niska i krępa, miała grube łydki i za duży sweter z broszką w kształcie pawia na lewej klapie. Miała krótkie przy lizane brązowe włosy.

- Wstań! - rozkazała.
- Gdy wstałam, mogłam zobaczyć czubek jej głowy.
- Jak się nazywasz?

- Renee - odparłam. Miałam już dość tego dyrygowania mną i pytania o imię. O ile profesor Lumbar potrafiłam zrozumieć, skoro spóźniałam się i przerwałam wykład, o tyle teraz nic złego nie zrobiłam, pomagałam jedynie pozbiierać podręczniki. - A pani?

Popatrzyła na mnie wstrząśnięta moją impertynencją.

- Co za bezczelność... - sapnęła, bardziej do siebie. - Nazywam się Lynch. Ale nie musisz zwracać sobie głowy zapamiętywaniem mojego nazwiska, to przyjdzie z czasem. Obawiam się, że taka niesubordynowana osoba jak ty będzie często miała ze mną do czynienia.

Wzięła mnie za ramię i zaprowadziła w stronę schodów.

- Co pani robi?
- To standardowa procedura.
- Nie zrobiłam nic złego!
- Ukłęknij - warknęła.

Zszokowana tym idiotycznym poleceniem, ukłękłam przed schodami, tłumacząc sobie w duchu, że nauczyciele od dawna nie biją uczniów linijkami. Prawda, że nie? Wokół nas zaczynał zbierać się tłumek uczniów, jakies dziewczyny wskazywały na mnie i szeptały. Usiłowałam nie zwracać na to uwagi, ale czułam, że zaczynam się czerwienić. Chropowata drewniana podłoga wbijała mi się w kolana, poruszyłam się.

Pani Lynch obeszła mnie dokoła, jej brązowe drewniaki uderzały w podłogę niczym metronom.

- Brak pończoch - wymruczała, dotykając linijką moich nóg. - Wypuszczona koszula. - Opuściła linijkę, końcówka stuknęła głucho o podłogę. Przez tłum uczniów przebiegł szmer. Zaciśnęłam powieki, czekając na uderzenie, ale ona jedynie pochyliła się i przyłożyła linijkę do moich ud. Popatrzyła na moją spódnicę i zmartwiła. - Sześć centymetrów ponad kolanami. Regulamin mówi wyraźnie, że spódnica nie może być wyżej niż pięć centymetrów nad kolanami.

- To spódnica mojej mamy!

- Widocznie twoja mama była niższa niż ty. - Pani Lynch uśmiechnęła się, ukazując rząd drobnych żółtych zębów.

Spojrzałam na nią i wstałam, wygładzając spódnicę. To tylko centymetr różnicy, jak można kogoś karać za coś takiego?

- Idź do swojego pokoju i się przebierz.

- Muszę iść na filozofię... Zignorowała mnie.

- W drodze powrotnej wstąpisz do gabinetu dyrektorki.

- Mam teraz lekcję!

- A więc ją opuścisz - rzuciła, odchodząc.

- Ale to pierwszy dzień! Odwróciła się do mnie.

- Młoda damo, masz wielkie szczęście, że to jest pierwszy dzień. W przeciwnym razie kara byłaby znacznie dotkliwsza.

Wstałam. Właśnie otrzępywałam kolana, gdy usłyszałam za sobą głos kobiety.

- Przepraszam - odezwała się do pani Lynch. Ta, zdumiona, odwróciła się.

Nowo przybyła była szczupła, miała proste brązowe włosy i lnianą spódnicę. Mogła być w wieku mojej mamy, wokół oczu miała zmarszczki od częstego uśmiechania się.

- To jedna z moich uczennic - oznajmiła. - Zajmę się tym.

Nie widziałam jej nigdy wcześniej. Pani Lynch spojrzała na nią podejrzliwie, ja również.

- Chciałam powiedzieć, że ją zaprowadzę - dodała kobieta, patrząc na mnie tak, jakby już mnie kiedyś widziała. - Jest nowa.

Pani Lynch mruknęła coś w odpowiedzi i wróciła do swojego biura, stukając linijką. Gdy zniknęła, kobieta odwróciła się do mnie.

- Chodź.

Tłum we foyer rozproszył się, szłam z podniesioną głową, unikając spojrzeń, próbując ukryć upokorzenie. Gdy wyszliśmy z holu, nieznajoma zatrzymała się i rozejrzała.

- Idź do pokoju i się przebierz.

- A co z dyrektorką?

- Naprawdę chcesz się z nią zobaczyć? Zaprzeczyłam.

- Tak właśnie myślałam.

Nie miałam pojęcia, kim jest ani dlaczego mi pomaga.

- Czemu mi pani po... - zaczęłam, ale mi przerwała.

- I nie daj się więcej przyłapać na noszeniu niere gulaminowego stroju.

Skinęłam głową i pobiegłam do pokoju. Przejrzałam wszystkie ubrania mojej mamy i znalazłam skromniejszą plisowaną spódnicę. Włożyłam ją, potem pończochy, do środka wpuściłam koszulę, naciągnęłam sweterek i przejrzałam się w lustrze. Z trudem się rozpoznałam. Gdyby Annie spotkała mnie na ulicy, prze-szłaby obok. Czemu ta kobieta, która wybawiła mnie z opresji, patrzyła na mnie tak, jakby mnie znała? Kim ona była? Wzdychając, przeczesalam ręką włosy i spięłam je z tyłu spinką mojej mamy.

Pod koniec dnia spotkałam Nathaniela i razem poszliśmy na ostatnie zajęcia, nauki podstawowe. Odbywały się w obserwatorium, w wysokiej wieży. Po drodze opowiedziałam mu, jak pomyliłam klasy, szukając zajęć z łaciny. Jak spotkałam Minnie i panią Lynch, a potem o tajemniczej kobiecie.

- Tak - przytaknął Nathaniel, jego źle zawiązaną, ny krawat był za długi i zwisał smętnie, gdy chłopak] niósł książki, idąc obok mnie. - Lynch uwielbia znęcać się nad ludźmi. Mnie się zawsze czepia z powodu zarostu. - Wskazał trzy albo cztery samotne włoski sterczące na policzkach. - A przecież nie mam nawet żyłki. - Zaczerwienił się, głos mu się załamał. - Następnym razem nie przejmuj się Minnie, ona wiecznie coś upuszcza albo o coś się potyka; wszyscy uważają, że jest stuknięta.

- Czemu? - spytałam, ściskając torbę.

- W zeszłym roku urządziła scenę w jadalni. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, nie było mnie tam.

Wzruszyłam ramionami.

- Skoro już mowa o stukniętych, co to była za klasa, do której weszłam? Na tablicy były jakieś złowieszcze rysunki, nauczyciel mówił chyba po łacinie, a uczniowie wyglądali bardzo ponuro. Też bym była nieszczęśliwa, gdybym musiała oglądać takie rysunki przez cały dzień.

Nathaniel wytarł pot z czoła końcem krawata.

- Nie wiem. Mnóstwo ludzi potrafi mówić po łacinie.

- Naprawdę? Kto? Ja nie znam nikogo.

- To pewnie była klasa dla zaawansowanych.

- Pewnie tak. Ale co z rysunkami na tablicy? No i Dante tam był, a przecież jest na naszym roku. Nie powinien być razem ze mną?

Nathaniel uniósł okulary

- Nie. Ja też jestem w klasie zaawansowanej - powiedział z dumą. - W akademii nie ma dużo uczniów, więc dzielą nas na grupy w oparciu o umiejętności, nie wiek. A jeśli chodzi o rysunki, to pewnie chodziło o naukę słówek.

Popatrzyłam na niego sceptycznie.

- Trumny i trumny? Szczerze wątpię. Obserwatorium w środku było znacznie większe, niż mogłoby się wydawać. Ściany były białe, pojedyncze spiralne schody prowadziły na górę do szklanej kopuły dachu. Gdy weszliśmy na szczyt, znaleźliśmy się w laboratorium z długimi koncentrycznymi blatami, na których leżały zlewki,

wagi i metalowe instrumenty; na ścianach stały rzędem butelki z kolorowymi płynami i fiołki z proszkami. Na środku pomieszczenia umieszczono gigantyczny teleskop wymierzony w niebo.

Nathaniel i ja siedzieliśmy w pustej ławce z tyłu, profesor stanął w pozycji, która uwydatniała jego wystający brzuch i kościste nogi. Czubek jego głowy otaczały kępki kędzierzawych włosów, na nosie spoczywały okulary, mężczyzna sprawia! wrażenie szalonego naukowca, który wierzy w Obcych i teorie spiskowe. Z kieszeni jego koszuli wystawały długopisy. Popatrzył na zegarek, a potem zapalił i zgasił światło, żeby zasygnalizować początek lekcji.

Już miałam zapytać Nathaniela o lekcje łaciny, gdy poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Spojrzałam i zobaczyłam Dantego. Siedział po przeciwnej stronie sali. Rozpuszczone ciemne włosy okalały mu twarz, która teraz wydawała się bardzo blada i gładka.

Nasze oczy spotkały się, spróbowałam się uśmiechnąć, ale Dante rzucił mi jedynie zaciekawione i jakby zakłopotane spojrzenie. O czym myślał?

Profesor po raz ostatni zapalił i zgasił światło, sprawiając, że twarz Dantego zniknęła, a potem pojawiła się niczym duch. Gdy światło znów się zapaliło, Dante nadal się na mnie patrzył; poczułam dziwny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Nazywam się Starking, tak dla formalności. Szczegóły naszej tożsamości giną w bezmiarze sił wypełniających nasz Wszechświat.

Poklepał teleskop i popatrzył w górę, przez szklany sufit. Po niebie płynęły chmury, pod nimi leciało stadko ptaków.

- Ale zanim zaczniemy badać kosmos, powinniśmy poznać nasz świat. Dlatego właśnie uczymy się nauk przyrodniczych: biologii, chemii, fizyki. Dopiero gdy je zgłębimy, możemy ruszyć w kierunku planet i gwiazd.

Profesor Starking pochylił głowę i przez chwilę przyglądał się klasie ponad szklarni okularów.

- W czasie naszych lekcji spróbuję przekształcić wasze galileuszowe umysły. Uprzedzam, że możecie odczuwać dyskomfort, poszerzanie horyzontów zwykle bywa bolesne.

Nie mogąc się oprzeć, spojrzałam na Dantego. Wszystko w nim było takie pociągające - falujące włosy, podbródek. .. Mogłabym patrzeć na niego cały dzień i nadal miałabym problem z odtworzeniem rysów jego twarzy.

- Historia uczy nas, że jesteśmy bardziej efektywni, kiedy łączymy nasze siły - kontynuował profesor Starking. - Platon miał swojego Sokratesa, Galileusz Archi-medesa, doktor Frankenstein Igora. - Zaśmiał się cicho. Śmiech przeszedł w kaszel. Odchrząknął i powiedział: -Každy z was będzie miał swojego laboratoryjnego partnera, z którym będzie pracował przez cały semestr.

Zaczął wyczytywać nazwiska. Proszę, pomyślałam, odczytaj moje nazwisko razem z nazwiskiem Dantego. Proszę.

- Nathaniel Welch i Morgan Leicester. Nathaniel wzruszył ramionami i się przesiadł.

- Greta Platt i Christian Treese.

- Paul McLadan i Maggie Hughes.

- Renee Winters i Dante Berlin. Zesztywniałam z wrażenia. W Kalifornii zawsze

pracowałam w parze z tłustym Jeremym, chłopakiem, który okropnie cuchnął, albo z Samanthą Watson, która potrafiła gadać tylko o lakierze do paznokci. Krzesło zaszurało o podłogę i Dante przeszedł przez całą salę, żeby zająć wolne miejsce obok mnie. Jego ramiona drgnęły pod koszulą, gdy pochylił się nad stołem. Przez chwilę mi się przyglądał, a potem odwrócił się bez słowa do profesora. Zszokowana jego nieuprzejmością i niepewna, co mam robić, skupiłam się na tablicy, udając, że go ignoruję. Siedzieliśmy w ciszy, dopóki profesor Starking nie skończył odczytywać nazwisk.

- Prawa przyciągania - oznajmił, wskazując tablicę. Jego głos utonął w szeleście papieru.

- Pierwsze prawo przyciągania głosi, że przyciąganie i odpychanie to dwa bieguny tej samej siły...

Gdy profesor Starking opowiadał o fizyce i magnetyzmie, odwróciłam się do Dantego.

- Dlaczego ciągle się na mnie gapisz? - szepnęłam. Rozejrzał się dyskretnie, czy nikt nie słucha, i pochylił do mnie.

- Masz długopis na policzku - szepnął. - Tutaj. -Dotknął swojego policzka obok nosa.

- Och. - Poczułam, że się czerwienię, i potarłam policzek ręką.

- Poza tym przypominasz mi kogoś, kogo znam. Albo znałem. Ale nie mogę sobie przypomnieć kogo.

- Myślałam, że nie masz przyjaciół - rzuciłam wyzywająco.

Dante się uśmiechnął.

- To prawda. Mam tylko wrogów. Co nie wróży dobrze, biorąc pod uwagę, że wobec tego musisz przypominać kogoś z nich.

Uniosłam brew.

- Dobry jesteś w prawieniu komplementów. Jak ktoś tak czarujący może mieć wrogów? - palnęłam, zanim się powstrzymałam. No nie, w ten sposób nigdy nie zdołam spytać go o Benjaminą Gallowa! Rozpływanie się pod jego wzrokiem również mi nie pomoże.

- A więc myślisz, że jestem czarujący? - zapytał Dante. - To właśnie dlatego mi się przyglądasz?

- Powiedziałabym raczej: niepokojący. I nie, nie dlatego, jestem tylko ciekawa.

- Ciekawa? - Dante rzucił mi speszzone spojrzenie i odchylił się, kładąc rękę na oparciu krzesła. - Czego?

- Czemu z nikim nie rozmawiasz?

- Myślałam, że właśnie to robię.

- Czemu nie rozmawiasz z innymi?

- Mówienie nie jest jedynym sposobem komunikacji. Mówię, gdy mam coś do powiedzenia.

- W takim razie musisz być nudny, sądząc z tego, co inni o tobie mówią.

Dante zaśmiał się cicho.

- A co takiego mówią?

- Że nie rozmawiasz z nikim, bo czujesz się lepszy.

- A jeśli tak jest? Zmrużyłam oczy.

- Nie. Ty jedynie tak myślisz.

Dante uśmiechnął się i pochylił do mnie.

- A więc potrafisz czytać w moich myślach? Przełknęłam ślinę.

- Nie. Po prostu to wiem.

- Naprawdę? To o czym teraz myślę? - droczył się ze mną, przysuwając do mnie twarz.

Ciężko było zachować spokój, gdy wpatrywał się tak intensywnie, z tak bliska. Zadrżał mi głos.

- Zastanawiasz się, skąd jestem. Twarz Dantego się rozluźniła.
 - Dokładnie o tym myślałem - stwierdził, przyglądając mi się badawczo. Nie byłam pewna, czy żartuje, czy nie. -
 Myślę, że tam musi być zielono - dodał. - I dużo słońca.
 - Skąd wiesz?
 Przesunął w powietrzu palcem nad moją twarzą, nie dotykając jej.
 - Piegi.
 Zaczerwieniłam się.
 - Jestem z Kalifornii. A ty?
 - Stąd i zowąd - rzucił ogólnikowo. - Tak właściwie to znikąd.
 Spojrzałam na niego podejrzliwie. Co chciał przez to powiedzieć? Choć tak właściwie nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mógłby skądś pochodzić. Był zbyt przystojny, zbyt tajemniczy, żeby należeć do jakiegoś miejsca.
 Nim zdążyłam zadać kolejne pytanie, Dante zapytał:
 - To dlaczego tu jesteś? Nie wyglądasz jak typowa uczennica akademii.
 - Dlaczego? - obruszyłam się. - Bo nie mam funduszu powierniczego i letniego domku?

- Dlatego że mówisz to, co myślisz.
 - Och. - Odwróciłam wzrok. - A ludzie w akademii tak nie postępują?
 - Nie tak jak ty w czasie przebudzenia. Albo z panią Lynch dzisiaj rano.
 Westchnęłam. A więc był tam i widział.
 - Nie jestem przyzwyczajona do tak wielu zasad. Moja szkoła była bardziej... luzacka.
 - Rodzice cię tu przysłali? Pokręciłam głową.
 - Mój dziadek... - zawiesiłam głos.
 Czulałam, że Dante nadal mi się przygląda, studiuje moją twarz.
 - Masz rodziców? - spytałam, zanim zdałam sobie sprawę z głupoty tego pytania. Każdy ma rodziców.
 Dante się zawahał.
 - Nie, nie do końca.
 - Co masz na myśli?
 - Nic. Po prostu... Nieważne.
 Oparłam podbródek na rękach, zastanawiając się nad jego powściągliwością.
 - Czy to jakaś straszna tajemnica?

- Żadna tajemnica - odparł z uśmiechem. - Po prostu u mnie nie mam nic do powiedzenia.
 Zmarszczyłam brwi.
 - Albo nic, co chciałbyś powiedzieć.
 Profesor Starking opowiadał o siłach, a wszyscy przerzucali strony w podręczniku. Ja też przewracałam kartki na chybił trafił, bardziej zaintrygowana bliskością Dantego niż wektorami w książce.
 Dante popatrzył na mnie, na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.
 - Wiesz co, myślę, że źle to zaczęliśmy. Spróbujmy jeszcze raz. - Wyciągnął do mnie rękę pod ławką i powiedział głębkim głosem: - Jestem Dante.
 Zapatrzyłam się na linie na jego dłoniach, na żyły biegnące w górę, a potem odpowiedziałam:
 - Renee. - I wsunęłam dłoń w jego rękę.
 Jego skóra był zimna, poczułam w palcach mrowienie. Nasze oczy spotkały się, poczułam, że się czerwienię, wszystko we mnie tłukło się niczym ptak w klatce. To było niesamowite, nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie przytrafiło. To nie było zwykłe zdenerwowanie czy drżenie, które czułam, gdy byłam z Wesem, to było coś zupełnie innego, przerażającego, nienaturalnego. Otworzyłam usta, żeby przerwać ciszę, ale nie zdołałam wykrztusić ani słowa.
 Szybko odsunął rękę i moje palce znów stały się normalne, ciepło powracało powoli. Zamrugałam; cały świat, z wyjątkiem Dantego, wydawał się odległy i stłumiony, zgaszony i wyciszony. Gapiłam się na niego, speszona, przestraszona i podekscytowana - na jego usta rozchylające się i chwytające powietrze, jakby próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Wiedziałam, że już nic nie będzie takie samo.

Ogrodnictwo

Dante nie był chłopakiem dla mnie. Nietowarzyski. Poważny. Protekcyjny intelektualista. A w każdym razie tak powiedziałam Annie, gdy rozmawialiśmy w czwartek, pod koniec mojego pierwszego tygodnia w akademii. Zadzwoiłam do niej po zgaszeniu świateł. Poskręcany kabel telefonu ciągnął się przez cały pokój, a ja siedziałam pod kołdrą, szukając namiastki prywatności i szeptałam do słuchawki.

- Jest dokładnym przeciwieństwem Wesa. A przecież on jest doskonały, prawda? Możesz wobec tego wyobrazić sobie Dantego? - pytałam ją. Przez cały tydzień usiłowałam sobie wmówić, że mnie nie interesuje, że chcę się do niego zbliżyć wyłącznie po to, żeby wypytać go o Benjaminą. Ale szanse na taką rozmowę zmniejszyły się drastycznie. Wtedy kiedy nasze ręce się zetknęły i Dante cofnął swoją, wpatrywał się w nią z zakłopotaniem pomieszany z niedowierzaniem. Trzymał dłoń pod ławką, otwierał ją i zaciskał, aż zbiegały mu kostki palców

Odwrócił się do mnie i zapytał niemal niesłyszalnie:

- Czy ty...

Przyglądał się mojej twarzy i głos mu zamarł. Czy czuł to samo co ja? Nie zdołałam się tego dowiedzieć, ponieważ wstał bez słowa. Cała klasa spojrzała na niego, gdy odsuwane krzesło zaszurało po podłodze. Profesor Starking przerwał wykład.

- Muszę wyjść - wykrztusił Dante. Zebrał rzeczy i rzucił mi ostatnie spojrzenie. A potem wyszedł, trzaskając drzwiami.

Próbowałam rozmawiać z nim na następnych zajęciach z nauk podstawowych, ale był zbyt zajęty przeglądaniem pod ławką książki od łaciny i notowaniem w notesie w skórzanej oprawie, żeby zniżyc się do rozmowy ze mną. Właściwie nawet na mnie nie patrzył, co wyprowadzało mnie z równowagi.

- Możesz mi podać... - zaczęłam w czasie zajęć o motylach, ale nim zdążyłam dokończyć, podał mi szkło powiększające. Nasze ręce dotknęły się przypadkiem, Dante szybko cofnął swoją dłoń.

- Nie dotykaj mnie - rzucił, odwracając wzrok.

- Słucham? - spytałam osłupiała.

- Przepraszam - wymruczał. - Nie powinienem był tego mówić. - A potem wrócił do książki na kolanach. Przewrócił kartkę, sunąc palcem po wersach, zanim znalazł linijkę, której szukał. - To motyl z rodziny ru-sałkowatych.

- Skąd... skąd wiesz, przecież nawet nie spojrzałeś...

Nie odpowiedział. Przyjrzałam się motylowi, stwierdziłam, że Dante miał rację i odwróciłam się do niego, sfrustrowana. Trzymając szkło powiększające przy oku, zajrzałam mu przez ramię, próbując zobaczyć, co czyta. Tekst był po łacinie.

- To na zajęcia? - zainteresowałam się, przyglądając się jego rzymskiemu profilowi. W powiększeniu wyglądał jeszcze bardziej imponująco.

Dante popatrzył na mnie zaskoczony.

-Nie - odparł i zamknął książkę. - Szare - oznajmił, przyglądając się mojemu oku przez lupę. - Zupełnie jak niebo. Ładne.

No więc być może był niesamowicie przystojny, a jego głos głęboki i aksamitny. Być może był błyskotliwy i potrafił podać właściwą odpowiedź, nawet jeśli spędził prawie całą lekcję, czytając zagadkowe książki po łacinie. Ale był dokładnie taki, jak mówiła Eleanor: arogancki, powściągliwy i nieobecny. Jednak jeśli to wszystko było prawdą, czemu nie mogłam przestać o nim myśleć?

- Ale najdziwniejsze wydarzyło się później, gdy nasze dłonie się zetknęły, przez moją rękę przebiegł prąd! Potem Dante wstał i wyszedł. Od tamtej pory mnie ignoruje.

Annie się zaśmiała.

- Daj spokój, Renee! Zawsze przesadzasz, jeśli chodzi o chłopców.

- Nie, mówię poważnie. Nigdy nie czułam nic podobnego. Zupełnie jakby mi ręka zdrętwiała.

Usłyszałam głos Margerie. Annie zasłoniła mikrofon dłonią i zawołała:

- Zaczekaj, mam, to Renee! - Po czym wróciła do naszej rozmowy. - Nie bardzo łapię. Chodzi o krążenie? Jesteś pewna, że się nie zdenerwowałaś? Może oparłaś o coś łokieć i ręka zaczęła mrowić?

Zmarszczyłam brwi.

- Nie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak właśnie było. Naprawdę!

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Nie denerwuj się - powiedziała w końcu Annie. - Wierzę ci. - Ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. -

Słuchaj, skoro ten koleś to zwykły buc, czemu masz fioła na jego punkcie?

- Ponieważ on coś wie. I wcale nie mam fioła - dodałam i zaczęłam opowiadać o Benjaminie Gallowie i o tym, co się wydarzyło ubiegłej wiosny. Gdy wspomniałam o ataku serca, Annie milczała.

- Niezwykły zbieg okoliczności, prawda? - spytałam miękko.

Annie się zawahała.

- To zupełnie inna sprawa, Renee. Twoi rodzice... oni mieli swoje lata, gdy...

- Gdy co?

- Nic, po prostu... Jestem pewna, że lekarze i po-licja wiedzą o tych sprawach znacznie więcej niż my. Przecież nikt oprócz ciebie niczego nie podejrzewał, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Jestem pewna, że takie rzeczy zdarzają się znacznie częściej, niż nam się wydaje.

Nawinęłam kabel od telefonu na palec i mruknęłam:

- Tak, być może...

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut o Kalifornii i mojej starej szkole. Annie mówiła o nowych nauczycielach, o tym, kto z kim chodzi i kto doszedł do drużyny, ale jakoś zupełnie mnie to nie interesowało. Gdy wreszcie skończyłyśmy rozmowę, zrzuciłam kołdrę i zapatrzyłam się w sufit. Słuchawka leżała na mojej piersi, w ciemnym pokoju rozlegał się przerywany sygnał. Co się ze mną dzieje? Annie była moją najlepszą przyjaciółką, jedyną osobą, która wiedziała o mnie wszystko. Więc dlaczego poczułam ulgę, gdy powiedziała, że musi kończyć?

- Myślę, że to zupełnie normalne - usłyszałam głos Eleanor.

Zaskoczona, usiadłam. Eleanor siedziała na swoim 1 łóżku w jedwabnej piżamie z różowym zakreślaczem i *Ucztą* Platona. Do połowy wypalona świeczka mrugała na szafce nocnej.

-Co takiego?

-Dante.

-Słyszałaś, co mówiłam?

-Oczywiście, że tak. Przecież byłaś w tym samym | pokoju, a szeptanie nie jest twoją mocną stroną. No więc, uważam, że to, co zaszło między tobą i Dantem, jest bardzo romantyczne.

- Raczej nie, to znaczy... wiesz, myślę, że to nie to. Lubię kogoś innego. To znaczy, lubiłam przed przyjazdem tutaj - tłumaczyłam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że Kalifornia staje się coraz bardziej odległą. Annie wspomniała, że Wes o mnie pytał, ale ja nie miałam od niego żadnej wiadomości od chwili przyjazdu do akademii, nawet jednego żalosego e-maila. - Nie mam zamiaru wiązać się z Dantem. To nie jest chłopak dla mnie.

Eleanor uniosła doskonale wyregulowane brwi.

- To dziwne, biorąc pod uwagę, że niemal o niczym innym nie rozmawialiście.

- Nie bardziej niż to, że cały czas podsłuchiwałaś, chociaż powinnaś czytać - odcięłam się.

- Czy ja wiem, według mnie to normalne. Cóż innego mogłabym robić? Poza tym z kim pogadasz o Dantem jak nie ze mną? Wyświadczam ci przysługę. No więc uważam, że Dante się tobą interesuje. Ta cała akcja z rękami... To jednak o czymś świadczy.

Zaśmiałam się sarkastycznie.

- Pewnie jestem uczulona na jego wodę kolońską.
- Nie bądź śmieszna. Poza tym nie sądzę, żeby to było aż tak niezwykle.

Spojrzałam na nią sceptycznie.

- Mówisz serio? Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

- Oczywiście, że nie. Nigdy nawet nie słyszałam o czymś podobnym. Ale coś takiego mogłoby się wydarzyć tylko z Dantem Berlinem. Albo z Gideonem Du-Pontem. Ale wtedy musiałabyś się zmierzyć z rozwścieczoną Vivian.

- To jego przyjaciele, tak?

- Dawni przyjaciele. Gideon jest w ostatniej klasie, zawsze nosi czarny garnitur i staroświeckie okulary, jakby właśnie wrócił z czasów Wielkiego Kryzysu.

Nagle zrozumiałam, że to musiał być ten chłopak, który siedział w klasie, w której odbywała się lekcja zaawansowanej łaciny. Vivian to pewnie ta dziewczyna obok niego.

- Vivian Aletto jest jego najlepszą przyjaciółką, chociaż wszyscy są absolutnie pewni, że łączy ich coś więcej. Zawsze są razem, zawsze się kłócą jak rodzeństwo. Ale kiedyś widziałam, jak Gideon przesunął palcami po jej nadgarstku, a Vivian nosi czasami jego okulary. To naprawdę dziwne.

- Przyjaźnili się z Dantem i Cassandrą Millet? Eleanor skinęła głową.

- I jeszcze z Yagonem Castilliarem. Musiałaś go widzieć, zawsze ubiera się bardzo kolorowo. Nosi bawełniane spodnie, które z trudem mieszczą się w regulaminie, półbuty bez skarpetek i wygląda, jakby pilnie potrzebował fryzjera. Jednak nigdy nie miał z tego powodu kłopotów, pewnie dlatego, że flirtuje z panią Lynch.

Faktycznie go widziałam; zresztą łatwo było go dostrzec, choćby dlatego, że tylko on odważył się nosić różową koszulę.

- No więc byli niczym rodzina. Najstarsi i najbardziej przerażający z całej piątki to Gideon i Vivian, oni i odgrywali rolę rodziców. Yago był kłopotliwym dzieckiem, Dante starszym bratem, chociaż tak właściwie był od niego młodszy, a Cassandra była słodkim maleństwem.

- Nie mają prawdziwej rodziny?

- Zdaje się, że nie. Chociaż nie, Yago ma. Jego ojciec jest jakimś hiszpańskim magnatem, więc krąży między Hiszpanią a Nowym Jorkiem. Zdaje się, że Gideon jest również z tych okolic, może z New Hampshire. A Vivian, kto wie? Nie zdrzyłabym się, gdyby zamordowała i zjadła całą swoją rodzinę. Cassandrą straciła krewnych w wypadku w górach, na nartach i odziedziczyła cały majątek. Myślę, że jej prawnym opiekunem jest cioteczna babka, ale zawsze wyjeżdżała na wakacje z rodziną Yagona, albo ze swoim chłopakiem, Benjaminem, zanim on, no wiesz... Atak serca. - Eleanor zamknęła książkę i przesunęła palcem nad płomieniem świecy, czekając na pytanie, które, jak obie wiedziałyśmy, musi paść.

- A Dante?

Eleanor usiadła prosto i zmrużyła oczy.

- On jest najbardziej zagadkowy. Zdaje się, że jest sierotą, w każdym razie tak mówi. Nigdy nie wyjeżdża z Attica Falls, nawet na wakacje czy święta.

Attica Falls. Stacja benzynowa, sklep i restauracja. Wyglądało na opuszczone miasto. Kot włóczęga i zardzewiała ciężarówka były jedynymi oznakami życia.

- Wynajmuje pokój w pensjonacie. Widziałam ten budynek jedynie z zewnątrz, ale wygląda przygnębiająco.
- Nic dziwnego, że byli ze sobą tak blisko - wymruczałam. - Skoro nie mają nikogo prócz siebie.

- Prawda? Potrafisz sobie wyobrazić, że nie masz rodziny?

- Tak - szepnęłam. - Potrafię.

Eleanor umilkła, a ja poczułam się nieswojo, jak zawsze na myśl o śmierci rodziców.

- Ale czekaj, skąd o tym wszystkim wiesz? Znowu twój brat?

Eleanor pokręciła głową.

- Nie pamiętasz? Cassie była moją współlokatorką.

W piątek rano wstałyśmy wcześniej niż zazwyczaj, na pierwsze zajęcia z ogrodnictwa. Wszystkie lekcje zaczynały się o ósmej, a ta z nieznanego mi powodu o szóstej. Widocznie ma to coś wspólnego ze słońcem i roślinami, pomyślałam. Eleanor miała zajęcia razem ze mną czekając, aż się wyszykuje, zerknęłam na mój plan lekcji.

„Ogrodnictwo. P 6.00, Kaplica”.

- Hej, czyżby ogrodnictwo miało być w kaplicy?

- Tak myślę - odparła Eleanor, jednocześnie wkładając wełnianą spódnicę i próbując spiąć włosy. - Co za ironia, biorąc pod uwagę, jakim bezceństwem jest zmuszanie nas do wstawiania bladym światem. - Zerknęła w lustro po raz ostatni i wzięła torbę. - Dobrze, chodźmy.

To był pogodny jesienny dzień. Szłyśmy brukowaną ścieżką pomiędzy wznoszącymi się nad nami dębami. Kaplica znajdowała się w najbardziej wysuniętej na zachód części kampusu i wyglądała niesamowicie z gotycką wieżyczką prosto ze średniowiecza. Łuki sprawiały wrażenie przechylonych, jakby były zmęczone stuleciami stania prosto. Na fasadzie widniały posągi świętych, otaczali wejście niewidzącymi twarzami. Po kamiennych figurach spływała woda, między dwoma apostołami wciśnięte było ptasie gniazdo.

- Nie używano jej od wieków - wyjaśniła Eleanor. - Zdaje się, że jakieś sto lat temu jeszcze jej używali, ale potem kaplica stała opuszczona. Chyba wybuchł pożar, prowadzono tu nawet jakieś prace renowacyjne, ale nigdy nie widziałam żadnych robotników.

Dotarłyśmy do wysokich nitowanych drzwi i chciałyśmy je otworzyć, ale okazały się zamknięte. Eleanor i ja popatrzyłyśmy na siebie zdziwione. Pociągnęłam kilka razy za klamkę, nawet uderzyłam w nie ze złości, ale bez efektu.

- Może odwołali zajęcia? - zasugerowała Eleanor z nadzieją. - Wracajmy do pokoju.

Już miałam się z nią zgodzić, gdy usłyszałyśmy głosy dobiegające zza budynku. Cała klasa stała na czymś, co wyglądało jak zarośnięty cmentarz. Były tam bliźniaczki mieszkające na naszym piętrze, kilka osób, których nigdy nie wiedziałam, a także przystojny chłopak, bardzo podobny do Wesa. Podeszłyśmy do nich.

Profesor Betty Mumm była szczupłą, delikatną kobietą. Miała ogorzałą, pokrytą zmarszczkami twarz po wielu dniach spędzonych na powietrzu i krótkie brązowe włosy, obcięte po chłopięcemu. Włożyła wysokie kalosze, rękawiczki ogrodowe i kapelusz.

- Witam na zajęciach z ogrodnictwa - powiedziała, wyciągając torbę z cebulkami kwiatów z leżącego na ziemi jutowego worka. - Dzisiaj zajmujemy się glebami - dodała i zaczęła rozdawać cebulki, łopatki, pudełka zapalek i rękawiczki. Była zadziwiająco zwawa, choć wyglądała na starszą od mojego dziadka. - Pierwszą rzeczą, jakiej musicie się dowiedzieć o ogrodnictwie, jest to, że każda roślina wymaga odpowiedniej ziemi. Jeśli nie będziecie przestrzegać tego warunku, nie spodziewajcie się wyników. Istnieją dziesiątki rodzajów gleb, a każda z nich ma własną charakterystykę. Na szczęście dla nas, niemal wszystkie można znaleźć w tym ogrodzie, przez ostatnie dwa stulecia ten teren został gruntownie przekopany.

Gdy profesor Mumm przeszła do omawiania pięciu najbardziej powszechnych gleb, rozejrzałam się po cmentarzu. Mokra od rosy trawa była upstrzona dzikimi kwiatami, które sięgały mi do połowy łydki, między chwastami widać było kawałki płyt nagrobkowych. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam ogrodnictwo w swoim planie zajęć, właściwie nie wiedziałam, co mam o tym sądzić. Spodziewałam się raczej zwykłej biologii niż wykopków na porzuconym cmentarzu.

- Czy to nie makabryczne? - zapytałam Eleanor, patrząc na nauczycielkę, która pokazywała, jak prawidłowo trzymać łopatkę.

- Czemu tak mówisz? - odezwał się głęboki głos. Obejrzałam się zaskoczona. Eleanor podeszła bliżej kaplicy i właśnie szeptała coś do jednej z bliźniaczek; na jej miejscu stał teraz przystojny sobowtór Wesa.

- Jestem Brett - powiedział z uśmiechem.

- Renee - odparłam, czując nagle onieśmienie. Brett był wysoki i dobrze zbudowany, jakby właśnie zszedł z boiska do rugby. Jego rysy wydawały się zbyt wyraziste. Wyglądał atletycznie i męsko niczym postać z bajki.

- Z kim rozmawiałaś, zanim ci tak brutalnie przerwałem?

- Z moją przyjaciółką, Annie. To znaczy, Eleanor. Z moją współlokatorką Eleanor.

- To w końcu z Annie czy z Eleanor?

- Eleanor. Eleanor Bell. - Wskazałam stojącą nieopodal koleżankę. - Przepraszam, Annie to moja przyjaciółka z Kalifornii, stamtąd pochodzę. Niedawno się tu przenieśli i jeszcze nie oderwałam się od tamtego życia.

- Dziewczyna z Kalifornii! Myślałem, że wszystkie jesteście blondynkami - powiedział, ujmując w palce pasmo moich brązowych włosów.

Poczułam, że się czerwienię, i odgarnęłam włosy za uszy. Brett wyglądał mi na chłopaka, który uważa, że może mieć każdą dziewczynę. Może nawet gra we fris-bee z odsłoniętą klatką i podwiniętymi spodniami. I nigdy, ale to nigdy, nie zwraca uwagi na takie laski jak ja. Tak jak Wes. A jednak stał obok, najwyraźniej ze mną flirtując.

- A ja sądziłam, że wszyscy mieszkańcy Maine to brodaci farmerzy.

Brett się zaśmiał.

- To musiało być gorzkie rozczarowanie!

- Straszliwe - odparłam, poczym oboje zaczęliśmy słuchać profesor Mumm, która kazała nam iść za sobą do ogrodu. - Każdy z was ma inną cebulkę. Chciałabym, żebyście odnaleźli dla niej odpowiednią glebę i włożyli garść ziemi do woreczka - oznajmiła, pokazując sakiewki z materiału.

Jedna z bliźniaczek podniosła rękę.

- Ale skoro nie wiemy, jaką konkretnie mamy cebulkę, to skąd możemy wiedzieć, jaką glebę wybrać?

Profesor Mumm uśmiechnęła się zagadkowo.

- Kierujcie się intuicją. To pierwsza zasada ogrodnictwa. Intuicja. Idźcie za jej głosem. - Stuknęła obcasami. - I pamiętajcie, o czym mówiliśmy! POROST: powąchaj, rozetrzyj, ogrzej, spróbuj, trzymaj. A teraz do dzieła! Włóżcie rękawice i chwycie za łopatki!

Wszyscy rozeszli się po cmentarzu. Nagle poczułam, że ktoś zniechęca dotyka mojego łokcia. Podskoczyłam.

- Hej! - powiedziała Eleanor, za nią stały bliźniaczki.

- Cmentarz nie jest dobrym miejscem do zaskakiwania ludzi!

Eleanor się roześmiała.

- Przecież to biały dzień! Poza tym nie tylko ja cię zaczepiam. - Zerknęła na Brett'a.

- On to robi ze wszystkimi dziewczynami - rzuciła jedna z bliźniaczek, April; jej siostra Allison skinęła głową.

- To jeszcze nie znaczy, że nie możemy popatrzeć - odparła Eleanor.

Wszystkie przyglądałyśmy się, jak podnosi swoją łopatkę. Wyprostował się, odwrócił do nas i uśmiechnął. Zakłopotana, spuściłam wzrok, a Eleanor przeciwnie, pomachała do niego ręką.

- Myślę, że będę szukać gleby w pobliżu Brett'a. Jego dołeczki w policzkach nigdy mi się nie znudzą.

Zaśmiałam się, Eleanor niepostrzeżenie podążyła za chłopakiem. Z trawy wystawały dziesiątki nagrobków tak zniszczonych, że napisy były nieczytelne. Pomyślałam, że moi rodzice, dokładnie tak samo jak ci ludzie tutaj, zostali zredukowani do epitafiów, nagrobków i trumien. Odrzuciłam od siebie tę myśl, wzięłam moją cebulkę i podrzuciłam na dłoń. Była brązowa, węzlasta niczym korzeń imbiru. Powąchałam, ale poczułam tylko ziemię. Intuicja, pomyślałam i ruszyłam.

Nie miałam pojęcia, dokąd idę, po prostu szłam przed siebie, co jakiś czas zmieniając kierunek, posłuszna nieznanym siłom. Co chwila schylałam się, żeby sprawdzić ziemię. Porost, powtórzyłam w myślach. Powąchać: czułam mieszaninę aromatu jabłek, trawy i orzechów. Rozetrzeć ziemię w palcach, porównując jej kolor i fakturę z barwą mojej cebulki. Ogrzać, chociaż żadna ziemia nie była wystarczająco oleista, by się zapalić, gdy przykładam do niej zapalnik. Spróbować: podnosiłam ją do ust. Trzymać: ważyłam ją na dłoni. Żadna nie wydawała mi się odpowiednia. Każda była albo za sucha, albo zbyt tłusta, pachniała jak pastrami albo miała zbyt gorzki smak.

Oddaliłam się od reszty klasy, zbliżyłam do drzew. Pochyliłam się i podniosłam garść ziemi, która była tak mokra, że niemal oleista. Powąchałam ją. Nic. Co mówiła nauczycielka, gdy gawędziłam z Brett'em? Jeśli gleba jest ziarnista i pachnie jak wędzone mięso, jest dobra dla leśnych roślin. Jeśli jest sucha i smakuje jak sól, to znaczy, że ma dużo minerałów i jest odpowiednia dla roślin jednorocznych. A może wieloletnich? Nie pamiętałam.

Odruchowo roztarłam ziemię w palcach i podniosłam do ust. Początkowo smakowała po prostu jak piasek, potem pojawił się delikatny posmak melasy. Przyjrzałam się mojej cebulce, która była włóknista i sucha, i miała ten sam brązoworudy odcień. Pomyślałam, że powinna pasować. Pochyliłam się i włożyłam garść do woreczka.

Chyba nikt oprócz mnie jeszcze nie skończył. Niektórzy kręcili się wśród chwastów, inni przyklekali, wachając ziemię i brudząc się. Profesor Mumm krążyła wokół, sprawdzając, jak im idzie i udzielając rad dotyczących kopania. Nie wróciłam do reszty, szłam dalej, coraz bardziej zbliżając się do lasu. Nie wiem, czemu to zrobiłam, czułam się tak, jakbym miała coś ważnego do zrobienia właśnie tam i zapomniała o tym.

Szłam przez trawę, wybujałą, sięgającą mi do kolan. I'N/czoła latała leniwie nad kwiatkami, z tyłu usłyszałam głos Eleanor:

- Renee! Dokąd idziesz? Wiesz już, jaką masz cebulkę?

Obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam, że biegnie w moją stronę.

- Nie - odpowiedziałam. - Rozglądam się. Poranne słońce grzało mnie w kark. Weszłam w cień drzew i się zatrzymałam. W trawie coś było, coś brązowego, wyglądało jak gałąź. Otarłam spocone czoło; słysząc, że Eleanor podchodzi, schyliłam się, odsunęłam zielsko łopatką i znalazłam to, co ciągnęło mnie do siebie. Stojąca za mną Eleanor wrzasnęła.

To był jelonek, martwy, zwinięty na trawie. Nogi miał nienaturalnie wygięte, nad głową krążyły muchy, brązowa sierść pokryta była plamkami.

Kilka chwil później była już przy nas cała klasa, wszyscy gapili się to na mnie, to na jelonka. Profesor Mumm przecisnęła się, zdjęła kapelusz i popatrzyła na martwe zwierzę, a potem na mnie.

- Właśnie... właśnie go znalazłam. - wyjaśniłam. - Szukałam ziemi... - dodałam, choć to nie była prawda.

Twarz profesor Mumm złagodniała, objęła mnie ręką.

- Chodź, kochanie - uspokoiła mnie. - Nie ma sensu tu stać. Nic już nie możemy zrobić.

Zaprowadziła nas z powrotem do kaplicy, gdzie pozbierała nasze cebulki i woreczki z glebą. Przeglądając je, komentowała - żadna gleba nie pasowała do cebulki.

Gdy przyszła moja kolej, profesor Mumm wzięła mój woreczek i wysypała jego zawartość.

- Niezwykłe połączenie - powiedziała jakby do siebie. - Krokusy lubią suchą, zimną i słoną glebę. To mogłoby się sprawdzić... Tak... Ciekawe, bardzo ciekawe. Mieszanina czerwonej gliny i oleju... To naprawdę mogłoby się sprawdzić...

Profesor Mumm popatrzyła na mnie z zaciekawieniem i oznajmiła:

- Lekcja skończona.

Wszyscy się rozeszli, Eleanor szła obok mnie.

- Jak to się stało? - spytała.

- Po prostu szłam przed siebie i wpadłam na niego - wyjaśniłam, czując, że nawet tutaj przyciąganie do martwego zwierzęcia nie jest normalne.

- Dziwne. Wyglądało na to, że dokładnie wiedziałaś, dokąd idziesz.

- Nie wiedziałam - odparłam szybko.

- A jak udało ci się znaleźć właściwą glebę? To było sprytne.

- Brałam po trochu do ręki, wachalam i próbowałam. Ta wyglądała tak, jakby stanowiła jedność z moją cebulką. Miała tę samą barwę, poza tym cebulka była sucha, a ziemia tłusta. - Wzruszyłam ramionami. - Uznałam, że powinna pasować.

- Głos intuicji! - zawołała Eleanor, przedrzeźniając profesor Mumm. - Przeczucie!

Roześmiałam się.

- Przesadza trochę, no nie?

- Wiesz, uczy ogrodnictwa, potrzebuje odrobiny ekscytacji w życiu.

Dołączył do nas Brett.

- Masz wrodzone zdolności! - zawołał.

- O, Brett. - Eleanor uśmiechnęła się i starła kciukiem ziemię z jego twarzy. - Teraz wyglądasz jak prawdziwy farmer - stwierdziła.

- To źle? - zaśmiał się.

Bardzo miłutki farmer - dodała kokieteryjnie Eleanor.

Brett się uśmiechnął, a ja przewróciłam oczami. Jego podobieństwo do Wesa było nie tylko zewnętrzne. Miał podobny sposób chodzenia, mówił tym samym tonem, miał nawet identyczne zęby. Właściwie powinien mi się jeszcze bardziej podobać, ale o dziwo, to wszystko sprawiało, że stawał się zwyczajny i nieciekawym.

- Co teraz macie, dziewczyny?

- Filozofię - odparłam, choć ogrodnictwo skończyło się wcześniej, tak że miałyśmy teraz trochę wolnego czasu.

- Nic - powiedziała szybko Eleanor.

- Nic? - spytał Brett. - To może zrobimy z tego coś? Może śniadanie?

Parsknęłam śmiechem, ale pod wpływem spojrzenia Eleanor udałam, że kaszlę. Ile dziewczyn poderwał w taki właśnie sposób?

- Byłoby super - rzuciła Eleanor. - Właśnie przed chwilą Renee mówiła, jakie jesteśmy głodne. - Szturchnęła mnie w bok.

- Hm, taa. Umieramy z głodu.

W Megaronie Brett opowiadał o swoich lekcjach, o rodzinie i przyjaciółach, których zostawił w domu. Właściwie zapomniałam już, że to Brett, i rozmawiałam z nim tak jak z Wesem. Nawet się nie zdziwiłam, gdy okazało się, że ich życie wyglądało niemal identycznie. Był najstarszy z trójki rodzeństwa, przed przyjazdem do akademii grał w rugby i piłkę nożną i był bardzo rozczarowany, gdy odkrył, że tu nie będzie tego robił. Teraz był kapitanem drużyny lekkoatletycznej. Miał labradora, z którym latem grał we freesbee, lubił kolor niebieski, słuchał wszystkich rodzajów muzyki z wyjątkiem

country. Jego ulubionym autorem był Hemingway (typowe), a w każdym razie tak mówił, choć wątpiłam, żeby czytał coś poza lekturami. Zjedliśmy śniadanie i się pożegnaliśmy. Ruszyliśmy w stronę Kolegium Horacego. Oczy Eleanor płonęły zachwytem.

- Jest taki śliczny - mówiła, gdy wchodziliśmy po schodach na drugie piętro. - Taki męski. Taki amerykański, taki... opalony.

-I wygadany. - Otworzyłam drzwi do klasy.

Pomieszczenie miało wysoki sufit i dwa okna wychodzące na skwer. Kilka osób już tam siedziało, rozmawiając albo przeglądając notatki. Usiadłyśmy z przodu i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy jest Dante. Nie było go.

Nathaniel wbiegł do środka, uginając się pod ciężarem plecaka, który upodobił go do zółwia. Chłopak usiadł ciężko w ławce obok mnie i wtedy zadzwonił dzwonek.

- Cześć, Renee - sapnął, krzywiąc się. Był spocony. Odgarnął włosy z twarzy i poprawił okulary. - Napisałaś wypracowanie? Pracowałam nad swoim niemal całą noc. Przepisywałam je cztery razy, zanim uznałam, że jest dobre.

Poczułam dreszcz.

- Wypracowanie? - Spojrzałam na Eleanor w nadziei, że dla niej to również będzie nowina, ale ona wyjęła swoje z zeszytu.

- Tak, o mitach, w które chcielibyśmy wierzyć. Nie masz?

- Nie, przecież nie było mnie na tamtej lekcji, Lynch kazała mi się przebrać, pamiętasz?

- Och, faktycznie. - Eleanor popatrzyła na mnie z miną winowajcy - Przepraszam, sądziłam, że wiesz.

Wyglądałaś na taką zajęętą, myślałam, że właśnie nad nim pracujesz.

Westchnęłam, zastanawiając się, co teraz zrobić.

- Nie, to moja wina - westchnęłam. - Powinnam była spytać, co zadane. Gdybym tylko nie była tak za-|ęła rozmyślaniami o Dancie, rodzicach i Benjaminie (iallowie, na pewno bym to zrobiła).

- Mam kilka wersji mojego - oznajmił Nathaniel. -Może nie są wybitne, ale można je wykorzystać. - Podał mi kilka pogniecionych kartek papieru.

To było bardzo miłe z jego strony, ale nie lubiłam zrzucać. Wprawdzie Nathaniel był uznanym geniuszem matematycznym, ale nie byłam przekonana co do jego umiejętności pisarskich.

- Nie, dzięki. Po prostu powiem nauczycielowi, co się stało.

Ale Nathaniel się uparł.

- Naprawdę, weź - mówił z zapalem, wciskając mi wypracowania. W końcu wzięłam je i zaczęłam czytać.

Bazgrolił jak kura pazurem i wszędzie były ślady gumki. Na pierwszej stronie widniał tytuł: *Chciałbym uwierzyć w siebie*. Spojrzałam na następne wypracowania: *Chciałbym wierzyć, że kalkulatory zastąpią umysł człowieka*. Ostatnie nosiło tytuł: *Chciałbym wierzyć w liczby urojone*. To wydawało się najbardziej obiecujące, choć przypominało raczej dowód matematyczny niż wypracowanie i chyba nie bardzo pasowało do tematu.

Zagryzłam usta.

- Są naprawdę... dobre. - Oddałam mu kartki. -Ale źle bym się czuła, spisując od ciebie. Po prostu porozmawiam z nauczycielem po lekcji, może zrozumie.

Nathaniel wzruszył ramionami i włożył wypracowania do zeszytu.

- To nie facet, to babka.

Jakby na potwierdzenie jego słów drzwi otworzyły się i weszła kobieta ze stertą papierów. Położyła je na biurku i wyszła na środek klasy z książką w ręku. Patrzyłam na nią wstrząśnięta. To była ta sama kobieta, która uratowała mnie przed wizytą w gabinecie dyrektorki.

Annette LaBarge nie była piękną; właściwie była całkiem przeciętna. Nosila funkcjonalne i proste ubrania, głównie w kolorach ziemi; dzisiaj miała na sobie lnianą spódnicę, która eksponowała jej smukłe łydki i korkowe buty. W tej pozycji przypominała jedną z modelek z katalogu stojącą na kamienistej plaży i trzymającą w ręce jakąś gałąź lub kawałek drewna wyrzuconego przez morze.

- Bajki. - Jej głos brzmiał jak dzwoneczki wietrzne. - A gdyby tak przyjąć, że są prawdziwe? - Rozejrzała się po sali z oczami rozszerzonymi podnieceniem. Była niewysoka, delikatna i krucha, a jednak wydawało się, że wypełnia całą salę swoją osobą. - Może kiedyś naprawdę istniały wiedźmy i czarownice, zwierzęta potrafiące mówić i straszliwe potwory? Bajki są podstawą naszej cywilizacji, opiera się na nich niemal cała zachodnia filozofia. Książki, które będziemy czytali w tym roku, traktujcie nie jak opowieści filozoficzne, ale jak rzeczywistość. - Otworzyła książkę i przewróciła pierwszą stronę. - A więc udajmy się do kraju za górami, za lasami, gdzie żyli długo i szczęśliwie, i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Dawno, dawno temu...

Słuchając jej delikatnego głosu, wydawało mi się, że śnię na jawie, że jestem w miejscu, gdzie ludzie są dobrzy albo źli, gdzie miłość trwa wiecznie, problemy rozwiązują się dlatego, że mocno w to wierzę, a wróżki i fauny pomagają odnaleźć drogę.

Po lekcji czekałam, aż wszyscy wyjdą, a potem podeszłam do biurka panny LaBarge; właśnie układała wypracowania. Odchrząknęłam, spojrzałam na mnie.

- O, cześć, Renee.

Zdumiało mnie, że zapamiętała moje imię i poczułam się jeszcze gorzej z powodu nienapisanego wypracowania.

- Pani profesor, ja...

- Nie było cię na lekcji tydzień temu i nie wiedziałaś, co było zadane? Wiem.

Popatrzyłam na nią wstrząśnięta, potem utkwiałam wzrok w swoich stopach.

- Przepraszam.

- Po prostu napisz na następnej lekcji - powiedziała delikatnie. - Napisz, w co nie wierzysz, ale chciałabyś wierzyć.

A na przyszłość po prostu zapytaj.

Skinęłam głową, przyciskając książki do piersi. Pomyślałam o moich rodzicach. I o Benjaminie Gallowie. O cmentarzu za kaplicą. W co chciałabym wierzyć? W życie po śmierci.

Gdy przyszedłam na zajęcia z nauk podstawowych pod koniec dnia, Dante czekał na mnie w ławce, tym razem bez łacińskiej książki czy notesu.

- Cześć. - Odsunął mi krzesło.

Zaskoczona usiadłam obok niego, usiłując nie gapić się na jego perfekcyjne ramiona.

- Cześć - rzuciłam nonszalancko.

- Jak tam? - zapytał; czułam, że mi się przygląda.

- Dobrze - odparłam ostrożnie, profesor Starking właśnie rozdzielał zadania laboratoryjne.

Dante zmarszczył brwi.

- Nie jesteś dziś zbyt rozmowna.

Włożyłam termometr do zamulonej wody w akwariium, które miało udawać zamknięty ekosystem.

- Czyżbyś chciał pogadać? A co, nie odrabiasz już łaciny?

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- To były poszukiwania.

- Czego?

- Czegoś, co już nie ma znaczenia. Rzuciłam mu podejrzliwe spojrzenie.

- Dlaczego?

- Ponieważ zrozumiałem, że skupiałem się na niewłaściwej rzeczy.

- Co to za rzecz? - zapytałam, zerkając do tyłu na tablicę i wyglądając spodnicę.

-Ty.

- Nie jestem okazem laboratoryjnym - odparłam szybko.

- Chciałem cię tylko poznać.

Odwróciłam się do niego, pragnąc zadać mu milion pytań, ale ograniczyłam się do jednego.

- Ale ja nie mogę się o tobie niczego dowiedzieć? Dante odchylił się na oparcie krzesła.

- Mój ulubiony autor to oczywiście Dante - powiedział kpiąco - choć bardzo lubię Rosjan. Kocham muzykę, różną, ale najbardziej Musorgskiego i Wagnera, a także partie na wiolonczelę. Trochę mroczne, prawda? Kiedyś lubiłem operę, ale wyrosłem z tego. Co jeszcze? Jestem mało odporny na upały, nie lubię słodczy, ale kiedyś uwielbiałem wiśnie. Mój ulubiony kolor to czerwony. Często przechadzam się po lesie, żeby się odprężyć, w efekcie świetnie znam florę i faunę Ameryki Północnej. Poza tym - jego oczy spoczęły na mnie, gdy próbowałam skupić się na naszym zadaniu - pamiętam wszystko, co kiedykolwiek mi powiedziano. Totaki swoisty talent.

Zalana niespodziewanym potokiem informacji, wpatrywałam się w niego, niepewna, co odpowiedzieć.

Dante zmarszczył brwi.

- Czyżbym coś opuścił?

Pomyślałam o Benjaminie i moich rodzicach. To był idealny moment.

- A co z przyjaciółmi? - spytałam miękko.

- Myślałem, że już to omówiliśmy, że nie mam żadnych.

- Myślę, że coś ukrywasz.

Dante popatrzył na mnie zamyślonym wzrokiem.

- Powiedzmy, że kiedyś miałem przyjaciół.

- I co się stało?

- Okazało się, że są inni, niż sądziłem.

- To znaczy?

- Że robią rzeczy, o które nigdy bym ich nie podejrzewał.

Co to niby miało znaczyć?

- Na przykład co?

- Na przykład, wszystko. O to właśnie chodzi.

- Czy to ma coś wspólnego z Benjaminem Gallowem? - wypaliłam.

Dante popatrzył na mnie niemal groźnie.

- Z Benjaminem? - syknął tak cicho, że ledwie go usłyszałam. - Co o nim wiesz?

- Nic - odparłam spokojnie. - Tylko tyle, że chodził z twoją przyjaciółką, że zmarł i że ty go znalazłaś.

- To dlatego chcesz ze mną rozmawiać! Żeby plotkować o jego śmierci!

- Nie! Nie miałam zamiaru, ja... ja tylko nie wierzę, że zmarł na atak serca.

Dante już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się, gdy dotarło do niego to, co mówię.

- A na co zmarł?

- Nie wiem, myślałam, że ty wiesz.

- Czemu aż tak cię to interesuje? Chcesz mieć nowy temat do plotek?

Poczułam się tak, jakby mnie spoliczkował.

- Moi rodzice umarli trzy tygodnie temu. Znalazłam ich. Oboje zmarli na atak serca, w tym samym czasie, w tym samym miejscu w lesie. Tak jak Benjamin.

Odwróciłam się od niego i patrzyłam na tablicę, ale czułam na sobie jego wzrok.

Milczał dłuższą chwilę, w końcu powiedział:

- Nie potrafię ci pomóc.

- Czy to znaczy, że mam rację? Dante zniżył głos.

- Może i tak - stwierdził. - Może to nie był atak serca. Może to serce go zaatakowało.

W sobotę opowiedziałam Eleanor o moich podejrzeniach na temat śmierci Benjaminia i moich rodziców. Uznała, że sfiksowałam.

- Masz kręćka - rzuciła, patrząc w lustro i układając włosy. Zaczynał się weekend i pomagała wydziałowi humanistycznemu przesłuchać kandydatów do przedstawienia szkolnego.

Milczałam.

- To nie to samo? - dorzuciła. - Dostał ataku serca i zaatakowało go serce?
- Kto go tam wie, może po prostu ze mnie kpił?
- I co mu powiedziałaś?
- Nic. Zadzwoił dzwonek i on wyszedł.

- Może to on fiksuje - zawyrokowała Eleanor i w końcu spięła włosy z tyłu. - Widzisz, mówiłam, że pasujecie do siebie.

Wywróciłam oczami.

- Raczej znęca się nade mną, zamiast odpowiedzieć na moje pytania.
- Po prostu za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. - Wzięła torbę. - No dobra, muszę iść.

Uprzedziła, że będzie zajęta cały dzień, więc ustaliłyśmy, że spotkamy się na obiedzie w stołówce.

- Radziłabym ci, żebyś wzięła udział w przesłuchaniu - dodała jeszcze - ale tylko chłopcy mogą grać w sztukach.
- Dlaczego?

Eleanor wzruszyła ramionami.

- No, wiesz, jak za czasów Szekspira.
- Czy to czasem nie jest niezgodne z prawem? Sek-sizm? - Nawet jeśli nie było, nie podobało mi się.

Eleanor znowu wzruszyła ramionami.

- To szkoła prywatna, mogą robić, co im się podoba.

Kiedy indziej wściekłabym się na tak idiotyczne zasady, chociaż w porównaniu z innymi zasadami akademii ta nie wyglądała jeszcze aż tak źle. Poczulałam ulgę, w końcu miałam trochę czasu tylko dla siebie. A w każdym razie tak mi się wydawało. Miałam tak dużo zadane, że spędziłam w pokoju niemal cały dzień, wertując książki. Wyszłam dopiero na obiad. Eleanor się nie zjawiła. Czekałam przed Megaronem, rysując kółka czubkiem buta i patrząc, jak przychodzą niemal wszyscy oprócz niej. Zrezygnowana, weszłam do środka sama. Zobaczyłam Nathaniela, który siedział w kącie w towarzystwie notatek i szklanki mleka. Był jeszcze bardziej przejęty pracą domową niż ja, zjedliśmy coś szybko i wróciliśmy do swoich pokoi.

Eleanor nadal nie było. Zastanawiałam się, co się stało. Może ciągle tkwiła ze swoją reżyserską ekipą? Usiadłam przy biurku, nie bardzo wiedząc, co mogłabym zrobić. Spróbowałam napisać wypracowanie z filozofii, ale gdy patrzyłam na słowa na kartce, litery rozmazywały się, przybierając postać moich rodziców. Gdy w końcu udało mi się uwolnić od ich widoku, zaczęłam myśleć o Annie, Dantem, Wesie i Bretcie. Zerknęłam na zegar na ścianie, minęła kolejna godzina, a ja nadal byłam w lesie. Powinnam się zrelaksować, jednak Eleanor nie było i nie miałam z kim pogadać. Mogłabym pójść do pokoju obok i zobaczyć, czy są tam dziewczyny, ale jedyne, co nas łączyło, to Eleanor. Znowu spojrzałam na zegarek. Skoro u nas była ósma, w Kalifornii powinna być piąta. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Annie, ale nikt nie odebrał. Odłożyłam słuchawkę na widełki, zaczęłam kręcić się po pokoju. Wszędzie leżały porzucane ubrania. Pozbierałam je, pochowałam do szafy, a potem w zapale porządków zajrzałam pod łóżko, żeby wyjąć sweter z walizki. Wszędzie były kłębki kurzu, pajęczyny zwiisały z ramy łóżka. Sięgnęłam do walizki; dotknęłam czegoś miękkiego. Wyciągnęłam to i zobaczyłam, że to kłęb martwych, pokrytych kurzem ciem. Krzyknęłam i potrząsnęłam ręką, strzepując je na dywan. Nie, stanowczo powinnam stąd wyjść. Bez zastanowienia wrzuciłam książki do torby i wybiegłam na korytarz.

Hol powitał mnie cierpkim aromatem kobiecości. Cytrusowo-kwiatowy zapach wypływał spod drzwi pokoi, z pryszniców buchały gorące kłęby pary, delikatny aromat goździków unosił się od strony skrzydła dziewczyn z ostatniej klasy. Korytarz był zupełnie pusły, ale zewsząd dobiegały stłumione rozmowy, zupełnie jakby każdy pokój był odrębnym wszechświatem.

Została mi godzina do dwudziestej pierwszej, zbiegłam ze schodów prosto w rześkie powietrze nocy. Dotarłam do rozwidlenia ścieżki i się zatrzymałam. Nie wiedziałam, dokąd idę i co chcę zrobić... Decyzja pojawiła się nagle, skręciłam w prawo i poszłam w stronę biblioteki.

Biblioteka Coplestona była masywną budowlą w stylu greckim z doryckimi kolumnami na przedzie, trójkątna fasada przedstawiała antyczną scenę wojenną, nad którą widniała łacińska sentencja: *Homo nihil quam quid sciet est*.

Potężne metalowe drzwi skrzyknęły, gdy je otworzyłam, uderzył we mnie ciepły powiew powietrza przesyconego kurzem. Przygarbiona bibliotekarka, z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i śladem wąsika pod nosem wyglądała jak kret. Zatrzymała mnie przy wejściu i oznajmiła:

- Bibliotekę zamykamy o dziewiątej. - Podskoczyłam na dźwięk jej głosu, zbyt głośnego jak na bibliotekę. - Żadnego jedzenia czy picia. Żadnego palenia, grania w gry, gadania oraz gwizdania.

Według mnie to i tak było oczywiste, ale skinęłam głową.

- Dobrze.

- Cii.

Przewróciłam oczami i ruszyłam, usiłując zachowywać się najciszej jak mogłam.

To było wysokie pomieszczenie, ściany pokrywały książki. Nigdy wcześniej nie wiedziałam aż tylu w jednym pomieszczeniu. Szłam w głąb biblioteki, mijając stoliki i katalogi, zapadał zmierzch, a od ścian płynął zapach starej skóry i papieru. Czulałam się jak w muzeum.

Posuwałam się głównym korytarzem, próbując znaleźć miejsce do siedzenia. Zapaliły się lampy oliwne, dając migoczące żółte światło.

W bibliotece było sporo ludzi, przy każdym stoliku siedziała przynajmniej jedna osoba. Podłogi pokrywał czerwony dywan. Słychać było jedynie szelest przewracanych kartek. Szłam dalej, jakby ciągnęła mnie nieznaną siłą: po schodach w górę, potem przejściem, potem przez podwójne drzwi prowadzące do zachodniego skrzydła. Nie miałam pojęcia ani dokąd idę, ani w jakim dziale właśnie jestem, ale chyba nie przychodziło tu zbyt wielu uczniów, większość stolików była pusta. Minęłam gigantyczne regały z książkami i znalazłam stolik z widokiem na kampus. Już miałam usiąść, gdy usłyszałam szepty po drugiej stronie regału. Przyciskając notatki do piersi, podeszłam na palcach do półek i zajrzałam przez szczelinę między książkami.

- Straż Uczniowska *erat* - głos Gideona DuPonta był chłodny i głęboki. Chłopak w czarnym garniturze i szybkretowych okularach, z kasztanowymi włosami zaczesanymi na lewą stronę siedział odchylony na oparciu krzesła z nogą założoną na nogę. Obok niego byli Vivian i Yago. Na stoliku wznosiły się stosy książek. Próbowałam przeczytać

tytuły, ale mi się nie udało. Podeszłam bliżej, przykucnęłam, żeby się przyjrzeć i dostrzegłam martwą mysz na podłodze. Stłumiłam okrzyk, ale Gideon, Vivian i Yago i tak odwrócili się w moją stronę. Zasłoniłam usta dłonią, żeby stłumić oddech. Bałam się, że zaraz tu zajrzą i zobaczą mnie, skuloną za regałem, z martwą myszą u boku, ale na szczęście kontynuowali rozmowę, tylko ciszej. Pewnie uznali, że skoro mówią po łacinie, to i tak nikt ich nie zrozumie. Nie pomylili się - nie miałam bladego pojęcia, o czym rozmawiają, ale sądząc po ich reakcji, musiało to być coś tajnego.

- *Quis id fecit?* - spytała Vivian mocnym, władczyim głosem. Miała na sobie dopasowany garnitur z marszczoną białą muchą zawiązaną pod kołnierzykiem.

- *Non scio* - odparł Gideon.

- *Puto* dyrektorka von Laark *esse* - odezwał się Yago. Miał na sobie błękitną koszulę i białą lnianą marynarkę z luźno zawiązanym krawatem pod szyją.

- *Erant dlii* - powiedziała złowieszczo Vivian. - *Nonne quis Ula puella ad ferret meministi?*

- Brandon *erat*. Brandon Bell - oznajmił Gideon. Vivian chciała coś dodać, ale Gideon mówił dalej: - *At-gue modus ad eum castigandum per Eleanor sororem eius est.*

Krzyknęłam cicho na dźwięk imienia Eleanor, na szczęście Yago zakasłał w tej samej chwili. O co chodziło? Z tego, co mówili, zrozumiałam jedynie te słowa: Straż Uczniowska, dyrektorka von Laark, Brandon Bell i chyba Eleanor. Szkoda, że nie przykładałam się bardziej do łaciny. Zerknęłam na martwą mysz. Była częściowo rozłożona i pokryta kurzem, musiała tu leżeć od kilku tygodni.

Wstałam, otrzępując kolana, z mocnym postanowieniem zabrania się do nauki, ale gdy się odwróciłam, zobaczyłam Dantego. Zaskoczona cofnęłam się i zrzuciłam książkę z regału. Z niewiarygodną szybkością Dante ją złapał, nim spadła na podłogę, a potem przyłożył palec do moich ust. Jego skóra była zimna, ten chłód powoli we mnie wsiąkał. Chłopak czym prędzej odsunął palec, a ja wzdygnęłam się, widząc, że mój oddech przemienił się w mgiełkę. Co się stało? Popatrzyłam na niego, ciekawa, czy zauważył.

- Renee. - Moje imię spłynęło z jego ust, jakby szeptał mi do ucha tajemnicę. Otaczało nas tysiące' książek; nachylił się do mnie, ciemne włosy opadały mu na twarz, czułam, jak jego oczy wędrują po mojej twarzy, studiują ją. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Poczułam, że robi mi się gorąco, chciałam coś powiedzieć, gdy zdałam sobie sprawę, że Gideon zamilkł, i usłyszałam szuranie krzesel.

- Chodźmy. - Dante podniósł moją torbę.

- Dokąd? - spytałam, idąc za nim.

- Tam, gdzie będzie mniej tłoczno - odparł, chociaż akurat ta część biblioteki była prawie pusta.

Zatrzymaliśmy się w półmrocznej czytelnicy. W każdym rogu były drzwi i wszędzie leżały stosy książek. Ukryliśmy się za jednym z nich, słuchając, czy ktoś za nami idzie.

- Co się stało? Moje wargi zrobiły się nagle takie zimne.

Spojrzał na mnie stropiony.

- Naprawdę?

A może mi się wydawało?

- Co ty właściwie tam robiłeś? - spytałam. Popatrzył na mnie, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Uczyłem się. A ty?

- Ja również.

- Na podłodze, po ciemku?

Przygryzłam wargę i sięgnęłam po torbę, którą Dante nadal trzymał w ręku, ale gdy ją wzięłam, upadła na podłogę i wszystkie moje papiery rozsypały się po dywanie.

- Przepraszam - westchnęłam, gdy oboje schyliliśmy się, by je pozbierać. Ołówki poturlały się w stronę przejścia, pozbierałam je i spostrzegłam, że Dante przegląda moje zeszyty. Próbowałam mu je odebrać, ale II/yniał je zbyt wysoko.

Życie po śmierci - przeczytał tytuł wypracowania. - Naprawdę, ze wszystkich mitów właśnie w ten chciałabyś wierzyć?

- Nie czytaj tego! - zawołałam, wyrwijając mu kartki. Popatrzył na mnie zaciekawiony.

- Nie wierzysz w życie po śmierci?

- Nie chodziło mi o sens religijny. Popatrzył na mnie z uwagą.

- A jaki, dosłowny? - wymruczał. - Ludzie żyjący po swojej śmierci?

Utkwiłam wzrok w podłodze. Wiem, że to głupie i szczeniackie, ale właśnie w to chciałam wierzyć.

- Brakuje mi rodziców - szepnęłam. To było żalosne, ale niestety prawdziwe.

Jego twarz złagodniała.

- Mam wrażenie, że łączy nas więcej, niż ci się wydaje. - Oddał mi plik kartek.

Wcisnęłam je do torby. Co chciał przez to powiedzieć? Że on też tęskni za rodzicami? Że też chciałby wierzyć w życie po śmierci? Przynajmniej nie uważał, że jestem śmieszna czy głupia, ale pewnie by tak pomyślał, gdyby zobaczył moją pracę domową z łaciny z wielkim czerwonym trzy plus.

- A propos łaciny... Szczeka mi opadła.

- Widziałeś ją?! - zawołałam. Pragnęłam umrzeć.

- Wiesz, jestem całkiem niezły z łaciny. Mógłbym ci pomóc. - Oparł się o regał, rękawy koszuli uniosły się i odsłaniały płataninę żył okalającą mięśnie na przedramieniu, po czym nikły pod podwinietymi mankietami.

- Skąd mogę wiedzieć, czy jesteś dobry? Może po prostu chcesz sabotować moją pracę domową? - spytałam sarkastycznie.

Roześmiał się.

- Sabotaż? Chyba żartujesz. Przecież wiesz, że jestem w klasie dla zaawansowanych, zajrzałaś wtedy na zajęcia. To ci nie wystarcza?

- Przekonaj mnie - palnęłam. Dante spojrzał na mnie zdumiony.

- Co miałbym zrobić?

- Powiedz, o czym rozmawiali Gideon, Vivian i Yago.

Dante patrzył na mnie, połowę jego twarzy skrywał cień.

- Nie wiem.

- Wiesz. - Zmrużyłam oczy.
- Rozmawiali o Straży Uczniowskiej. O tym, kto co zrobił. Nic więcej nie usłyszałem.
Nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy tylko próbuje mnie zbyć.
- Nie wierzę ci - odparłam.
Pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż obok mojej, kosmyki jego włosów dotykały moich policzków. Patrzył na mnie z intensywnością, jaką mogła zrodzić jedynie gwałtowna namiętność albo nienawiść, ale w tym momencie było mi wszystko jedno. Zamknęłam oczy i czekałam.
- Nie ufasz mi - szepnął mi do ucha, jego oddech był zaskakująco zimny.
Wzruszyłam ramionami.
- Nie.
Lampy olejowe zaczęły migotać, sygnalizując, że biblioteka za chwilę zostanie zamknięta.
- Ale ze mną rozmawiasz. Czyli jesteście umówieni na lekcję łaciny?
Chciałam powiedzieć, że nie, ale wbrew swojej woli zgodziłam się.
Żadne z nas nie odzywało się przez dłuższą chwilę. Zastanawialiśmy się nad tym, co właśnie ustaliliśmy.
W końcu przemówił Dante:
- Spotkajmy się w foyer kolegium Horacego w przyszły piątek.
Skinęłam głową. Przeszliśmy korytarzem i schodami na dwór, w chłodne powietrze Maine.
Po powrocie do pokoju zastałam Eleanor siedzącą na łóżku i szczotkującą włosy przy świetle świecy, na jej kolanach leżał jakiś podręcznik. Widząc mnie, opuściła szczotkę.
- Gdzie ty byłaś? - zapytała z wyrzutem, patrząc na mnie niespokojnie.
- A ty? - odparowałam, zła, że zostawiła mnie samą na obiedzie.
- Przesłuchania się przeciągnęły, nie mogłam wyjść. Myślałam, że się domyślisz.
Położyłam torbę na podłodze i usiadłam na łóżku.
- Domyśliłam się. Czego się uczysz?
- Jak to czego, matmy - powiedziała, jakby to było oczywiste. - W poniedziałek mamy pierwszy sprawdzian, pamiętasz?
- No tak, faktycznie... - Kompletnie o tym zapomniałam!
- A ty czego się uczyłaś?
- Nie uczyłam się - wyznałam z westchnieniem. - Widziałam Dantego w bibliotece. I Gideona.
Twarz Eleanor się ożywiła.
- Opowiadaj!
Usiadła naprzeciwko mnie na moim łóżku, a ja opowiedziałam jej o Gideonie, Vivian i Yagonie, o Dantem, moim wypracowaniu i łacinie.
- Wiesz, że wymienili również imię twojego brata? - dodałam.
Eleanor wyprostowała się zaskoczona.
- Że co? Czemu mieliby rozmawiać o Brandonie? Pokręciłam głową.
- Nie wiem, ale to jeszcze nie wszystko... - zawahałam się, czy powinnam jej o tym powiedzieć, skoro nie miałam pewności, czy dobrze usłyszałam. - Wspomnieli również o tobie.
- O mnie? Nawet ich nie znam! To pewnie dlatego, że Brandon ich nienawidzi, a oni nienawidzą Brando-na i całej Straży Uczniowskiej. Wszyscy o tym wiedzą.
Przygryzłam wargę. Myślałam, że Eleanor się zdenerwuje na wieść, że rozmawiali o niej i o jej bracie, a ona wcale nie wyglądała na zaniepokojoną.
- No, nie wiem. Wyglądało na to, że coś knują. A Dante chyba ich szpiegował. Tylko dlaczego? - spytałam. - Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to z niego wyciągnąć. Gideon mi raczej nie powie...
Eleanor spojrzała na mnie z niedowierzaniem.
- Nie wierzę, że myślisz o Gideonie w chwili, gdy Dante Berlin zaproponował ci korepetycje z łaciny!
Zaśmiałam się.
- Czyli nie sądzisz, że oni coś knują?
- Oni wiecznie coś knują. Wiecznie noszą trzyczęściowe garnitury, rozmawiają wyłącznie po łacinie i trzymają się mrocznej części kampusu. Ale co właściwie mogliby zrobić, kogo to obchodzi? Dante Berlin umówił się z tobą na randkę? To wydarzenie epokowe! Epokowe!
- Jest coś jeszcze...
Eleanor wbiła we mnie wzrok.
- Co? Poprosił cię, żebyś uciekła z nim do Transylwanii, czy skąd on tam pochodzi?
Roześmiałam się.
- Nie. Gdy mnie dotknął, jego palce były lodowate, a gdy przyłożył je do moich ust, mój oddech stał się zupełnie zimny.
Popatrzyłam na nią nerwowo, mając nadzieję, że -w przeciwieństwie do Annie - nie myśli, że tracę rozum. Cóż, nie zdziwiłabym się, to wszystko było zupełnie nierealne.
- Jak to zimny? Tak jak wtedy, gdy wdychasz zimne powietrze?
Skinęłam głową.
- Brzmi niesamowicie. No nie wiem. Może po prostu się denerwowałaś, że jesteś tak blisko niego, no wiesz, każdy by był. I wydawało ci się, że twój oddech jest zimny, podczas gdy to był przeciąg albo coś w tym stylu.
No tak, w bibliotece było chłodno. A Dante powiedział, że on nic takiego nie poczuł. Pewnie to mój mózg robi sobie żarty.
Usłyszałyśmy, jak korytarzem przechodzi pani Lynch, stukając linijką. Wprawdzie nie było zakazu rozmawiania po godzinie policyjnej, ale w drzwiach nie było zamka - wolałyśmy nie dawać jej pretekstu do ukarania nas. Eleanor ścisnęła mnie porozumiewawczo za kostkę i wyskoczyła z mojego łóżka. Gdy wyjmowała zeszyty z torby, wśliznęłam się pod kołdrę z podręcznikiem do matmy. Gdy go otworzyłam, cyfry i słowa zaczęły wirować i zobaczyłam Dantego. Położyłam się wygodnie, wyobrażając sobie, że stoi przede mną, że mogę się na niego patrzeć do woli, że czuję jego zapach, jego głos... Jedyne, co zapamiętałam, to szept mojego imienia.